Nr. 7 i 8. Kraków, lipiec-sierpień 1907. Rok VIII.



:: PISMO DLA KOBIET ::
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50	zagranicą . marek 1·50
półrocznie . „ 0·80	pojedynczy numer 15 gr.

W państwie rosyjskiem:

Rocznie 1 rubel.	Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

OD REDAKCYI.

Z powodów niezależnych od redakcyi wydanie lipcowego Nru „Przodownicy“ zostało opóźnione i dlatego w sierpniu wydajemy za dwa razem miesiące — za lipiec i sierpień.

Przepraszamy za to najserdeczniej Szanowne Czytelniczki i Czytelników i ufamy, że nam tę zwłokę wybaczyć raczą.

Donosimy, iż Nr. 12 i 4 są zupełnie wyczerpane.

Ze względu, że bardzo wiele czytelniczek proszą o zwłokę w zapłaceniu należnej prenumeraty za rok 1907, jeszcze tym razem posyłamy gazetkę wszystkim, bez względu czy uiścili prenumeratę lub nie — mając na uwadze czas tak zwany „przednowku“, kiedy to najtrudniej o grosz na wsi; upraszamy jednak bardzo o rychłe przesyłanie i tak już bardzo opóźnionej prenumeraty za rok bieżący.

Na zapytania nam przesłane odpowiemy w następnym numerze, który wydany zostanie przy końcu września.

Kto nie otrzymuje gazetki, raczy reklamować, reklamacyi opłacać nie należy. Na kartce reklamacyjnej pisać doniesienie, którego numeru gazetki się nie otrzymało, odesłać do redakcyi i oprócz swego podpisu nic więcej pisać nie wolno, jedno słówko więcej, zaraz opłacać każą 20 h., naprzykład „pozostaję z poważaniem“.

Gazetkę „Przodownicę“ wysyłamy zawsze, jeżeli nie dochodzi, to wina naszych urzędów pocztowych, na które ogół cały się skarży, ogół płacący duże i ciężkie podatki na ich utrzymanie.

ZJAZD
Czytelniczek i Czytelników „Przodownicy“
W KRAKOWIE.

Zapowiedziany jeszcze w maju r. b. Zjazd Czytelniczek i Czytelników „Przodownicy“ — przyszedł rzeczywiście do skutku i w dniach 29 i 30 czerwca sprowadził w mury naszego miasta wcale pokaźną liczbę osób, które pracą na polu zrzeszenia kobiet szczerze się zajmują.

A że były to właśnie dwa dni świąteczne, Św. Piotra i Pawła i niedziela — przeto Kraków istotnie zaroił się od przybyszów ze wszystkich stron Polski i przedstawiał się jak ludne, gwarne, ruchliwe i nader ożywione miasto. Mieliśmy bowiem gości bardzo wielu.

Przyjechali górnicy i robotnicy z Królestwa w liczbie do 3 tysięcy, Górnoślązaków też około 2 tysięcy, a wreszcie naszych na „Zjazd kobiet“ zaproszonych przeszło 200 osób.

Nasz komitet wszystko dla swoich miłych gości przygotował naprzód, to też i pomieszczenie wygodne i pożywienie dostatnie i zwiedzenie miasta oraz jego pamiątek pod każdym względem zadowoliły przybyłych. Ale co najważniejsze i co najgłębsze, a trwałe zrobiło na nich wrażenie, to były dwa przedpołudniowe posiedzenia i jedna wieczornica; albowiem wtedy nastąpiło owo porozumienie się serdeczne i szczere, oraz wynurzenie myśli i planów i owo celowe skupienie dla wspólnej, a wydatnej pracy u siebie.

Komitet główny, z siedzibą w Krakowie, ma obecnie zjednanych kilkudziesięciu chętnych ludzi i intelligentnie pojmujących ten obowiązek swój, którzy na prowincyi, po miastach i wsiach, wśród swego najbliższego otoczenia, szerzyć będą ideę zjednoczenia, zespołu i dążenia razem do podniesienia kobiety na każdem, dotąd odłogiem leżącem polu.

Ale idźmy porządkiem i starajmy się przedstawić Zjazd i jego dobre wyniki tak, jak on się rzeczywiście odbywał.

Zatem w sobotę (w dzień św. Piotra i Pawła) zaraz zrana wzięli udział uczestnicy Zjazdu w uroczystem nabożeństwie w kościele Najśw. Panny Maryi, po którem udali się do sali hotelu Saskiego, gdzie odbyło się pierwsze posiedzenie.

Zagaiła go pani dr Golińska, witając w serdecznych słowach zgromadzonych; na przewodniczące wybrano panią Maryę Siedlecką i panią Macurową, a na sekretarki pp.: Czyżową i Szeliską.

Pierwszym punktem obrad był referat, odczytany przez p. Sołtysową — o obowiązkach polskiej kobiety.

Niektóre ustępy z niego podajemy:

„Siostry Wy nasze ukochane!

Zebrałyśmy się dzisiaj nietylko celem wzajemnego zapoznania się, bo znamy się już bliżej jako czytelniczki „Przodownicy“, lecz raczej w celu omówienia wspólnej i skutecznej pracy na polu narodowem i społecznem, pracy takiej, któraby przyspieszyła chwilę odrodzenia i wolności naszej.

Nie mamy zamiaru nadawania pracy naszej jakiegokolwiek piętna politycznego. Wiemy, że pracy dla narodu i wśród społeczeństwa jest tak dużo, iż każda uświadomiona jednostka, bez względu na wiarę swą polityczną, znajdzie dla siebie miejsce odpowiednie, a pracując z ukochaniem swej sprawy, przyniesie tem samem i korzyść dla Ojczyzny.

Nie zamierzamy również zaznaczać tutaj odrębności kobiecej i starać się o zdobywanie dla niej nowych praw; to są dla nas, tymczasowo przynajmniej, cele dalsze.

Obecnie zgromadzamy się tutaj w szczuplejszej liczbie, jako czytelniczki „Przodownicy“, aby się wspólnie naradzić, co nam przedewszystkiem uczynić wypada, by godnie spełnić obowiązki, jakie na nas nakłada stanowisko Polki i obywatelki.

W każdej więc pracy zamierzamy stanąć obok mężczyzny i dział jej poważny: wychowawczy i pracę oświatową wśród kobiet i dla kobiety — wziąć na swoje barki. Pomimo tak często napotykanych narzekań na ograni-

czenie praw naszych, niema mocy takiej, którąby zdołała skrępować ducha kobiety, rwącego się do czynów lepszych, świętszych.

Wiemy, że każda z nas ma obowiązek zajęcia stanowiska przodownicy w społeczeństwie naszem, bez względu na sferę, z której pochodzi.

Nie powinny nam być obojętne żadne dążenia, prowadzące do wolności i ekonomicznej niezależności od obcych. Przeciwnie, każdym czynem powinnyśmy zaznaczać, że uważamy się każda z osobna za cząstkę wielkiego narodu, dla którego stworzenie lepszego bytu w naszych spoczywa rękach.

Całą naszą dobrą wolę i zrozumienie powinnyśmy wysilić w tym kierunku, by współudział nasz w każdej pracy był owocnym, byśmy się stały w narodzie czynnikiem jak najwięcej dodatnim, na którym w każdej chwili i w każdej potrzebie można polegać bezwarunkowo.

Poza obowiązkami żony i matki — obowiązkami, które i tak nie zawsze spełniamy należycie — spoczywa jeszcze na nas obowiązek wobec Ojczyzny i społeczeństwa.

Obowiązek ten rozumiały matki nasze, te, które w najcięższych chwilach narodu, w dniach krwawych walk o niepodległość naszą, stanęły na wyżynie niedoścignionej przez kobietę dzisiejszą.

Te, które synów swoich same wyprawiały w bój; te, które przemycały broń, należały do najniebezpieczniejszych organizacyi, przedzierały się przez szeregi wrogów z depeszami, zbierały rannych z pobojowisk, ukrywały i unosiły skazańców mimo niebezpieczeństwa, zagrażającego wolności lub nawet ich życiu.

Rozumiały obowiązek ten te matki nasze, które zapełniały sobą więzienia, a skazywane przez wrogów na największe katusze i zniewagi, nie okupywały wolności swej lub ulgi jakąkolwiek zdradą lub chwiejnością. Te kobiety młode, które zawierały związki małżeńskie po więzieniach, ze skazanymi na całe życie na katorgi w kopalniach sybirskich lub wieczne wygnanie w mrozy północne, w tym celu, by postępowaniem swem zaznaczyć współudział swój w walce o prawa przenajświętsze narodu i być opiekunką i aniołem pocieszycielem tym, dla których, zdawało się, że niema już świtu na tej ziemi.

Męczeństwem swem i ofiarnością stanęła wówczas kobieta polska na takiej wyżynie, że budziła podziw i odbierała cześć nawet ze strony wroga.

Dzisiaj zmieniły się czasy!

Żyjemy, przynajmniej tutaj, we względnym spokoju, pracy naszej nie zagraża żadna siła wroga, a miłość do Ojczyzny nie nakłada na nas obowiązków tak niebezpiecznych, jakie spełniało ofiarnie i bez lęku minione pokolenie.

Niemniej czasy obecne są równie poważne! Przeżywamy chwile przełomowe, naród cały budzi się do świadomości z żywiołową wprost siłą, zaznacza, że mimo utraty politycznego bytu istniejemy i mamy równe prawa z narodami wolnymi. Spoczywają więc na nas kobietach obowiązki, których sumiennem wypełnieniem przyspieszamy odrodzenie nasze i wolność tej ziemi, która jest naszą Ojczyzną i której w ofierze złożyć wszystko jest naszym obowiązkiem świętym.

Polka ma bardzo szerokie pole do spełnienia swych zadań, A są niemi:

Branie czynnego udziału w każdej pracy narodowej, która streszcza się przedewszystkiem w szerzeniu oświaty i moralności. Pomaganie mężczyźnie w każdej jego czynności, zajmowanie się wszelkiemi sprawami, których celem jest dobro Ojczyzny, szerzenie wszelkich myśli i dążeń wielkich.

Niech w dziele odrodzenia się narodu zajmie miejsce poważne, a sumiennem spełnianiem wziętych na siebie obowiązków pociągnie za sobą rzesze owe, które czekają na gromkie hasła, budzące je z uśpienia.

Każdy czyn nasz, każdy wysiłek powinien być spełniony ze świadomością wyższego swego zadania — spełniony pod wzniosłem hasłem, że dzieje się to dla dobra Ojczyzny.

Pracy dookoła tak dużo, ale żniwiarek wśród nas jeszcze mało.

Stańmy do pracy tej!

Niech żadna z nas nie wymawia się brakiem czasu, lub nieudolnością własną...

Nie! bo właśnie najowocniejsza praca kobiety, to ta praca w rodzinie, jako żony i matki... jako towarzyszki mężczyzny i wychowawczyni swych dzieci...

Tu, w tym dziale właśnie, niech ona zogniskuje wszystkie swe siły, zużyje wszystkie swe umiejętności i ukochanie, a plon zbierzemy bogaty.

Nadewszystko przy wychowaniu dzieci naszych powinnyśmy raz na zawsze zerwać z tem mniemaniem, że dziecko jest własnością naszą, że wolno nam niem pokierować tak,

jak w danej chwili jest to dla nas korzystnem lub dogodnem.

Nie! dziecko nasze należy do narodu — jest przyszłym obywatelem tej ziemi — czynnikiem dodatnim albo ujemnym w niedalekiej przyszłości.

My jesteśmy tylko dziecka naszego wychowawcami i na nas spada odpowiedzialność, o ile ono później wywiąże się z obowiązków, jakie nań nakłada Ojczyzna i społeczeństwo.

Wychowanie, to nie jedynie zaopatrzenie fizycznych potrzeb dziecka, ale urobienie mu ducha od najpierwszego zarania jego życia, wychowywanie go na człowieka charakteru.

Dzieci nasze otaczajmy nietylko miłością i staraniem, ale i szacunkiem.

Tak! miejmy szacunek dla dziecka własnego, aby rozwinąć w niem od dni najwcześniejszych poczucie godności człowieka. Nie wiemy jeszcze, co z dzieci naszych wyrośnie. Wszak niejedno z nich stanie na wyżynie społecznej, stanie się wielkiem w narodzie, przodownikiem w pracy, przedstawicielem najszczytniejszych idei.

A więc wychowujmy dzieci nasze w tem przeświadczeniu, że będą, że muszą być i lepsze i rozumniejsze od nas i że praca ich dla narodu będzie owocniejsza od pracy naszej, którzy torujemy im drogę.

Wychowujmy dzieci nasze na Polaków!...

Nie na tych jedynie, którzy przywdziawszy sukienkę narodową i wziąwszy barwną do rąk chorągiewkę, zanucą dziarsko piosenki narodowe...

Życie, to nietylko pieśń, nietylko oznaka zewnętrzna...

Niech dziecko nasze duchem będzie dzielne i wytrwałe, niech ma charakter silny, niezależny, niech będzie chciwe iść w bój za dobrą sprawę, a odporne na znój życiowy.

Niech nadewszystko ukocha Ojczyznę, cnotę i ludzkość całą. Od pierwszego obudzenia się świadomości niech dziecko nasze zrozumie, że jest Polakiem i że ma wobec Ojczyzny swej obowiązki do spełnienia...

Że właśnie Ojczyźnie naszej potrzeba jednostek dzielnych, wyrobionych, umiejących nie tylko myśleć i pracować w skupieniu ducha, ale i głośno, odważnie zaprotestować tam, gdzie honor narodu będzie tego wymagał.

W wychowaniu nie wygładzajmy zbytecznie ścieżynek życia naszego dziecka, nie oszczędzajmy mu ani cierpienia, ani zawodu... Bo tylko słabe istoty gną się pod naporem cierpienia lub łamią wśród przeciwności.

Jednostki lepsze cierpienie uszlachetnia, przeciwności zachęcają do walki, a zawody uczą szukania dróg nowych, pewniejszych.

Uczmy nadewszystko dzieci nasze kochać. Niech ukochają swą chatę rodzinną, pracę, która żywi – niech ukochają towarzyszy swych szkolnych, podzielą z nimi ból ich i wesele.

Niech dziecko nasze nie stoi nigdy samo, na uboczu, lecz nauczmy je rozumieć, że jest cząstką tego narodu, dla którego ono właśnie ma przygotować dni wolności i chwały.

Szacunku dla pracy nauczmy nasze dzieci! Brak tego stał się jedną z głównych klęsk naszych. Niech dziecko nasze wie, że najzwyklejsza na pozór praca ma zawsze za zadanie cel wzniosły.

Albowiem — jednostki najdzielniejsze wyrosną tylko z tych, które borykać się musiały z życiem. Istnieje w nas dziwne, chorobliwe prawie uprzedzenie do pracy fizycznej.

Do przemysłu, tak potrzebnego w kraju naszym, który miliony wydaje corocznie na towary, sprowadzane z zagranicy — rzucają się jedynie jednostki upośledzone, słabe, które z jakichkolwiekbądź powodów nie mogły uczynić zadość wymaganiom, stawianym przez szkołę.

Potrzeba nam natomiast zdolnych rzemieślników i przemysłowców. I jeżeli młodzież nasza, ta lepsza, dzielna i rozumna rzuci się na pole tej pracy, wówczas kraj będzie zmuszony do utworzenia wyższych szkół zawodowych, które nam wykształcą zdolnych przemysłowców i kupców, umiejących skutecznie walczyć z przemysłem obcym i wrogim.

Wytworzymy wówczas silny stan średni, zasobny, światły, posiadający zrozumienie sił własnych i obowiązków, jakie na nim ciążą. Ten stan średni, przemysłowy, który w innych dzielnicach Polski wstrzymuje siłą swoją napór wrogi i walczy zwycięsko z przemysłem obcym.

Czas już najwyższy, aby zaginął w nas ten typ rzemieślnika nędzarza, nieuświadomionego pod względem narodowym i w ciężkiej swej biedzie nie poczuwającego się do obowiązków wobec Ojczyzny.

Lecz aby to osiągnąć, musimy zwalczyć w nas wstręt do pracy ręcznej i właśnie jednostki światłe i rozumne skierować na to pole pracy.

I tutaj zadanie takie musi spełnić kobieta, matka, wychowawczyni.

Niech kobieta nasza pamięta i o tem, że w pracy swej musi się zespolić z mężczyzną,

Mężowi swemu jako towarzyszka wierna, doradczyni rozumna, nie obojętna dla niczego, co jej mąż ukochał.

Jeżeli wie, że mąż góruje nad nią umysłem, to niechaj idzie z nim razem, a jeśli odczuje duchową swoją przewagę, to wówczas niech mężczyznę podźwignie.

Bo niema większej spójni w rodzinie, ani większej, wydajniejszej siły nad tę, którą wytwarza zrozumienie potrzeb narodu i pracę dla jego dobra.

To łańcuch, którego żadne wrogie siły nie stargają. Właśnie tam, gdzie oboje małżonkowie coś z pracy swej oddają dla Ojczyzny, gdzie dzieci swe zaprawiają do boju o jej najświętsze prawa, tam spotykamy miłość najczystszą i trwałą, bo opartą na wzajemnym dla siebie szacunku.

Niech więc życie nasze całe i każdy nasz czyn z osobna ma na celu wywalczenie niezależności naszej, zarówno politycznej, jak i ekonomicznej.

Aby pragnienia nasze wprowadzić w czyn, starajmy się:

1. Oświecać i uświadamiać szerokie warstwy ludności naszej za pomocą wędrownych nauczycieli. Potrzeba, aby lud nasz poznał i ukochał dzieje ojczyste, zrósł się niejako z tą ziemią, znał jej wszystkie potrzeby i wspomagał współudziałem swym w pracy tych, którzy wszystkie swe siły poświęcili dla dobra Ojczyzny.

Również potrzeba lud nasz zaznajomić z hygieną mieszkania, pożywienia i ubierania się.

Dla braku znajomości hygieny mrą całe masy dzieci, karłowacieją przedwcześnie nasze kobiety, a mężczyźni stają się nieudolni do pracy.

Potrzeba ludzi, którzyby jeżdżąc od wsi do wsi, nauczali, jak dziecko wychowywać, opiekować się chorą kobietą i radzić sobie w nagłych przypadkach okaleczenia lub niemocy.

Powinnyśmy dążyć do tego, by każda wieś posiadała z czasem coś w rodzaju podręcznej apteczki i pogotowia ratunkowego, nad któremi pieczę miałaby wyszkolona w tym właśnie kierunku jedna z kobiet miejscowych. Zdrowotność ludności naszej podniesie się wówczas olbrzymio.

Wynalezieniem na ten cel funduszów i samem wykonaniem powinny się zająć gminy nasze, bo w ich interesie leży, aby wieś podniosła się pod względem zdrowotnym i posiadała jak najwięcej jednostek zdolnych do pracy.

2. Powinnyśmy starać się i upominać o zakładanie po wsiach i miasteczkach ochron i domów opieki dla dzieci.

Z braku tychże marnieją lub schodzą na manowce całe zastępy dzieci bezdomnych, pozbawionych opieki ze strony rodziców, zmuszonych pracować na wyżywienie rodziny swej poza domem.

Niechaj w ochronach takich dziecko nasze umyte i nakarmione, otoczone rozumną opieką, wyrasta na człowieka pożytecznego w społeczeństwie Zdaje się, że Galicya ma najwięcej owych dzieci bezdomnych, z których połowa w młodości umiera skarłowaciała, druga połowa rośnie na przestępców kryminalnych, a zaledwie setny procent na ludzi zdrowych moralnie i fizycznie.

I w tym wypadku ciąży obowiązek na gminach, które pod naporem żądań światlejszych mieszkańców, będą się musiały postarać o podobne ochronki i schroniska.

Kierownictwo i opiekę nad niemi należy powierzyć jednej z roztropnych i uczciwych mieszkanek wsi danej lub miasteczka; za skromną opłatą znajdziemy wszędzie osoby chętne, które z przyjętych na siebie obowiązków wywiążą się uczciwie.

3. Przez zakładanie lub domaganie się zakładania zawodowych szkół gospodarczych i rękodzielniczych dla kobiet. A tych nam tak bardzo potrzeba. Wszystko, począwszy od najskromniejszego guzika do sukni, a skończywszy na gotowem okryciu lub strojnym kapeluszu, sprowadzamy z zagranicy, bo nie potrafimy tego same wyrabiać.

Co gorsze, że nie posiadając tradycyi pracy w tym kierunku, doszliśmy do tego, że praca nasza mało jest wydajną. Przykrą i upokarzająco bolesną jest myśl o tem, że kobieta sąsiednich Niemców czyni nietylko zadość zapotrzebowaniom własnego kraju, lecz obszywa jeszcze i nas.

W twierdzeniu tem niema przesady!...

Toż wszystka gotowa bielizna, krawatki męskie, strojne bluzki, spódnice, zapaski i t. p. to przedmioty wyrobione przez Niemki i do nas przysyłane.

Czyżbyśmy Polki mniej były zręczne albo chętne? Nie! i my posiadamy dużo artystycznego smaku, zrozumienia piękna, i rzeczy, przez nas wykonane, będą przewyższały estetycznym swym wyglądem też same przedmioty, wykonane ręką Niemek.

Ale nam Polkom braknie wprawy do pracy w tym kierunku, bo nas jej dotychczas nigdzie nie uczono.

I stąd właśnie pochodzi mała tej pracy wydajność. Pracownica nasza na wykonanie każdej pracy ręcznej zużyje czasu więcej, a więc drogo za nią policzyć musi, mimo, że sama mało zarobiła.

I w tem właśnie leży cała klęska nasza, niemożliwość współzawodnictwa z pracą ręczną Niemek. Złemu zaradzić mogą tu skutecznie wszelkiego rodzaju szkoły zawodowe, któreby pod kierunkiem nauczycielek wykształconych fachowo w poszczególnych działach, potrafiły wychować całe zastępy dzielnych i zręcznych pracownic z pośród dziewcząt naszych.

Lecz niechaj, kładę na to nacisk, do szkół owych zawodowych wstępują na naukę i dziewczęta rodzin zamożniejszych, światłych, aby przykładem swym mogły pokazać, że praca ręczna to nie jedynie dział kobiet przez los upośledzonych, lecz obowiązek, którego spełnienie może być zarówno zaszczytne jak i przyjemne.

Niejedna ukocha silnie pracę taką, w której wykonanie można wlać dużo myśli twórczej, która da jej byt niezależny, a Ojczyznę wyzwoli z pod zależności obcej.

I w tym przypadku, zakładaniem szkół gospodarskich i przemysłowych, zarówno jak i zawiązywaniem związków zawodowych wśród kobiet, powinien się nadewszystko zająć kraj. Na nim spoczywa obowiązek wyszkolenia zawodowo kobiety naszej, dostarczenia pracy tym tysiącom, które jej pożądają, i zaradzenia straszliwej nędzy, przez stałe i skuteczne wypieranie przemysłu obcego.

Obowiązkiem naszym za pomocą zbiorowych petycyi dopominać się u odnośnych władz, aby rzecz tę pod rozwagę wziąwszy, nie pozostawiały jej w dziale projektów, lecz pospieszyły z otworzeniem i odpowiedniem uposażeniem zawodowych, gospodarczych i przemysłowych szkół dla kobiet naszych.

4. Przez skupienie się około „Przodownicy“, uczyńmy ją naszym organem, pismem, którego niech nie zabraknie ani w domu zamożnym, ani w chacie wieśniaka. Zróbmy ją powierniczką naszych pragnień i rzeczniczką naszych potrzeb. Za pośrednictwem tego pisma poznamy i pokochamy się wzajemnie. Te z białych dworków i te z ludnych miejskich kamienic. Te z chat wieśniaczych, które dostarczają dziś narodowi takiego sporego zastępu pracowników dzielnych — i te z kopalni i hut, gdzie serca biją tak gorąco, ofiarnie, a zastępy całe idą na męczeństwo za przenajświętszą sprawę narodu.

Takim sposobem osiągniemy, że coraz to szybciej będzie zanikała różnica, jaka zachodzi między kobietą już wykształconą i uświadomioną, a kobietą nauki i światła pożądającą...

Za pomocą pisma tego, które staraniem naszem znajdować się powinno w każdej polskiej rodzinie, będziemy utrzymywały bezustanny i trwały między sobą stosunek“.

* * *

Następne przemówienie p. dr Zofii Golińskiej na temat „Wróg szczęścia kobiet“, którym to wrogiem ogłosiła mówczyni alkohol i dosadnymi a przekonywującymi słowami to oskarżenie swoje udowodniła. Zamieścimy w jednym z następnych numerów gazetki.

Nad przedmiotem tego przemówienia wywiązała się dłuższa i ożywiona pogadanka — w następstwie, której zgromadzone kobiety ślubowały, że: odtąd dzieciom swoim żadnych trunków gorących (wódki, araku, piwa i wina) dawać nie będą.

Zarazem uchwaliły przekazać właściwej komisyi Zjazdu wystosowanie do Sejmu, czy parlamentu, prośby o ograniczenie wydawania ilości konsensów na szynki — oraz o zarządzenie zamykania gospód i szynków od wieczora w sobotę do poniedziałku z rana — oraz w inne święta.

Popołudniu, po spożyciu wspólnego obiadu, udała się wycieczka pod przewodnictwem kilkunastu młodych ludzi do tego uproszonych, aby obejrzeć miasto, jego kościoły, przedewszystkiem Wawel, dalej bibliotekę Jagiellońską, Uniwersytet, Muzeum Narodowe i kilka piękniejszych, historycznych gmachów.

Wieczorem zaś — po godzinie ósmej zgromadzono się znów w sali Saskiej na skromny posiłek i wspólną zabawę, urozmaiconą śpiewem, deklamacyą, przemówieniami, serdeczną pogawedką, wreszcie młodzież chóru akademickiego odśpiewała kilka pięknych, narodowych pieśni, poczem p. M. Broszkiewicz imieniem Komitetu wygłosił następujące powitanie:

„Przybyliście tu, żeby poznać Kraków, to miejsce drogie dla każdego Polaka, kolebkę chwały polskiej, prastarą siedzibę naszych Wielkich Królów, a dzisiaj ich groby, siedlisko nauki, i sztuki polskiej, jednem słowem

serce Polski. I uczyniliście dobrze, bo poznając Kraków, poznajecie Polskę.

A Polskę znać musicie. Bo czemże ta Polska? Te Wasze chaty i dworki, które opuściliście, te Wasze kościoły wiejskie, te stare cmentarze i te Wasze serca i dzieci Wasze, to właśnie ta Polska. Szczęście Wasze, to szczęście Polski, przyszłość Wasza, to przyszłość Polski, Polska to nie co innego, ale Wy sami.

To też znać ją musicie. A znać ją musicie tem bardziej, że losy jej w Waszych rękach, że Wy dzisiaj wstępujecie na arenę walki o jej przyszłość. W wielkich bojach wódz nie odrazu rzuca całą swą siłę w wir walki, ale znaczną część wojska zostawia w rezerwie, która w ostatecznej chwili rozstrzyga o losie walki. W tych potężnych bojach, jakie my przez dziesięć wieków wiedliśmy z wrogami Krzyża, Wy byliście tą rezerwą. Ale już Król Duch Polski skinął na Was swoją buławą i nadeszła wielka chwila i Wy wstępujecie do boju dla obrony Polski, dla przywrócenia jej dawnej chwały. A choć ten bój dzisiaj inny, bo na pracy wspólnej, a nie na mieczach oparty, również on wielki, również owocny. A więc odważnie naprzód!... Silni jesteście, jak lwy, bo jeszcze nie umęczeni, a liczni w miliony.

Jest legenda, że gdzieś w górach spoczywa uśpione wojsko polskie; to nie legenda, to prawda. A wojskiem tem Wy jesteście. Czekaliście długie wieki na przebudzenie, a przez te wieki walczyli ci, co wcześniej do walki na ziemiach polskich byli powołani i choć Polska pod naporem strasznych i licznych wrogów utraciła swą samodzielność, owocem pracy jest historya szczytna i pełna wielkiej chwały, jest literatura przepiękna, jakiej równej prawie niema, jest nauka i sztuka polska, nie ustępujące innym.

To wszystko musicie poznać, ażeby poznać Polskę i pokochać. A gdy Polskę naprawdę poznacie, taką, jaką była w istocie, gdy poznacie i zrozumiecie te ideały, które jej przez tyle wieków przyświecały, kiedy ją pokochacie całem swem sercem milionowem a chcieć będziecie jej szczęścia całą swą milionową wolą, zaświta nam nareszcie różowa jutrzenka lepszej a tak upragnionej przyszłości".

Nastąpiły deklamacye podniosłych wierszy patryotycznej treści — poczem znów śpiewano chórem i pojedynczo — aż wreszcie p. Zaleska omówiła na czasie będącą kwestyę, o „ruchu kobiecym", i w przybliżeniu tak ją przedstawiła:

„Nawet przelotny rzut oka na rozwój dziejów ludzkości pokazuje nam bardzo powolne i z wielkim bolem i trudem zdobywane prawa dla coraz liczniejszych jednostek, powoływanych stopniowo do stanowienia o sobie i bronienia swoich interesów.

U nas zrobiła ta idea wielki krok naprzód, przez przyznanie ludowi prawa powszechnego głosowania; lud, tak długo pogrążony w nędzy umysłowej i materyalnej, będzie teraz w możności upomnienia się przez swych własnych przedstawicieli o należne sobie zadośćuczynienie. Czyż jednak wszyscy ludzie są już uobywateleni t. j. przypuszczeni nietylko do służby obywatelskiej, ale i do praw? Nie; cała połowa rodu ludzkiego czeka jeszcze na swoją kolej, stoi poza nawiasem ludzi dojrzałych, pełnoletnich, których krzywdy miałyby być wynagrodzone, a coraz śmielej i głośniej upomina się o swoje prawa. Tą pokrzywdzoną jest **kobieta**.

Jest faktem niezaprzeczonym, że kobieta jest

1) w zależności materyalnej i prawnej od mężczyzny;

2) że jest upośledzona pod względem społeczno-politycznym, nie ma prawa wybierać, ani może być wybraną do żadnych reprezentacyi krajowych, że więc stanowią o niej bez niej;

3) jest jeszcze w znacznej mierze w niewoli duchowej.

Nad temi dwoma pierwszemi punktami nie będę się zatrzymywać, bo to by nam za wiele czasu i miejsca zajęło; dosyć będzie przytoczyć art. 30 ustawy, który brzmi, że kobieta nie może należeć do żadnych stowarzyszeń politycznych.

Inny znowu głosi, że niewłasnowolni to jest: waryaci, idyoci, kalecy, jak: ślepi, dzieci, i **kobiety**, nie mogą być świadkami przy umowach prawnych, przy pisaniu testamentu i t. p.

Inny jeszcze, że matka nie może być opiekunką swego własnego dziecka, ale w razie śmierci lub nieobecności ojca, musi mieć opiekuna **koniecznie mężczyznę**.

Niewola duchowa jednak zależy od niej samej.

Tak dużo kobiet w swem lenistwie ducha godzi się na rolę **lalki** strojnisi, w celu podobania się mężczyznom, uważając się prawie za **rzecz**, służącą do ich rozrywki, rozkoszy; znosi z taką pokorą ich odrzucenie,

sponiewieranie, wraz z utratą wdzięków; z obawy narażenia się na szyderstwo mężczyzn, woli im potakiwać i wtórować w wyszydzaniu innych kobiet, które podjęły pracę i walkę dla sprawy godności ludzkiej kobiety.

Nie odczuwają, czy też nie chcą odczuwać upokarzającego swego stanowiska w rodzinie nawet w postanowieniu o przyszłości dziecka, któremu tyle trudu poświęciły, nie mogą brać udziału; tutaj rozstrzyga tylko ojciec. Jeśli matka chce koniecznie przeprowadzić coś, co może wpłynąć na przyszłość dziecka, a ojciec nie jest tego samego zdania, to musi uciekać się do podstępu, kłamstwa, a przedewszystkiem dopiąć swego celu sprytem.

Czyż takie stanowisko nie jest upokarzającem nawet wobec samych dzieci, a wpływ matki, podnoszony zwykle tak bardzo, ograniczony do zera?

Ogromnej wagi dla położenia znaczenia kobiety nawet wobec męża, jest jej niezależność materyalna; daje ona jej możność w każdej chwili i potrzebie utrzymać samodzielnie rodzinę; do tego kobieta powinna sama władać swoim majątkiem i dążyć do pracy zarobkowej w zawodach najrozmaitszych.

I tutaj widzimy przerażającą krzywdę kobiety. Pod pozorem jej rzekomej słabości, za pracę, wyrównywającą pracy mężczyzny, pobiera o 25% mniejszą płacę, a czasem różnica dochodzi do 50 i 60% na niekorzyść kobiety. Zaledwie lekką wzmiankę uczynię o krzywdzie, czynionej kobiecie-dziecku w jego wychowaniu fizycznem .i umysłowem, dając mu niższe, gorsze szkoły i w niedostatecznej ilości.

Jak również o tej utartej w opinii ludzkiej podwójnej moralności, która karze bezwzględnym sądem i najsurowszem potępieniem upadłą kobietę, a zupełną nieodpowiedzialnością darzy najkarygodniejsze uczynki mężczyzny; czy nie dlatego, że ten sąd jest przywilejem tylko mężczyzn?

Wytłumaczono kobiecie, że poddanie się, cierpliwe znoszenie wszelkiego upokorzenia jest największą jej cnotą, a słabość jej, inaczej nazwana kobiecość, stanowi nietylko jej urok, ale i siłę wobec mężczyzny. I ona w swej niewoli ducha wszystkiemu temu uwierzyła.

Więc głównym moim tu celem jest wykazanie, że najważniejszym czynnikiem w ruchu kobiecym jest otrząśnienie się jej samej z niewoli ducha, uznanie i odczucie głębokie obrazy godności człowieczej w niej i przez nią; patrzenie własnemi oczyma na swoje sprawy, a nie przez okulary sobie narzucone. Prawdziwym niewolnikiem jest dopiero ten, kto swej niewoli nie odczuwa, kto się na nią godzi. Opór wobec przemocy już jest połową zwycięstwa, bo wcześniej czy później, ale swobodę sobie wywalczy.

Kobiecy ruch sprzeciwu powinien ogarnąć wszystkie klasy, połączyć kobiety wszystkie pod jeden sztandar, od najbogatszej do najbiedniejszej, bo wszystkie zarówno są pokrzywdzone, jako człowiek wolny w swoich uczuciach rodzinnych oraz prawach społecznych i politycznych.

Niestety, kobiety są dziś na tak różnych szczeblach rozwoju swego, że jeszcze o tem trudno marzyć.

O ile kobieta średniej klasy rzuciła się już poważnie do czerpania ze skarbu wiedzy, nauki, do zdobycia sobie tej niezależności materyalnej przez pracę zawodową, o tyle kobieta uboższa, jak służąca, robotnica i kobieta wiejska, pogrążone są w strasznej ciemnocie i trzeba będzie poświęcić długie lata pracy nad jej uświadomieniem.

O potrzebach duchowych i umysłowych służącej nikt dotąd nie pomyślał, nie śmiejąc ani na chwilę odrywać jej od obowiązkowej pracy a cnota jej jest narażona na pokusy ze wszech stron, co tłumaczy ogromny procent służących domowych, idących na najhaniebniejszą drogę.

Robotnica, także ciemna i przepracowana, pochwycona została w towarzystwa socyalistyczne i tam jej uświadomienie odbywa się tylko jednostronnie — na punkcie jej pokrzywdzenia społecznego i zarobkowego; o daniu jej jakichkolwiek moralnych podstaw niema mowy, a w imię walki klas sieje się i w ich serca niebezpieczną nienawiść, a tem samem niechętnie się usposabia do ogólnego ruchu kobiet. Wreszcie w tym szeregu kobiet postępuje ostatnia kobieta wiejska; objuczona nadmiernym ciężarem pracy, wyczerpana fizycznie ogromną ilością dzieci, przedwcześnie postarzała.

Nie może być nawet mowy o jej uświadomieniu i oderwaniu jej myśli od potrzeb dnia na rzecz ogólniejszych idei, zanim wpierw nie pomyśli społeczeństwo o ulżeniu jej w pracy codziennej. Dziecko przedewszystkiem powinno być wzięte w opiekę, bo matka zaledwie ma czas ugotować mu ziemniaka

i raz na tydzień umyć, trzeba więc zacząć od zakładania ochronek, szpitalików dziecinnych i t. d.

Przymusowa nauka w szkółkach ludowych ogromnie mogłaby się też przyczynić do podniesienia poziomu umysłowego po wsiach; tu jednak okazuje się ważność posłannictwa nauczycielstwa ludowego. Od wartości moralnej danej osoby zależy cały jej wpływ dodatni, można powiedzieć, przyszłość naszego ludu. Trzeba więc podnieść zasługę nauczycielki ludowej, która pomimo swego nizkiego wynagrodzenia i warunków życia nadzwyczaj ciężkich, oddaje się tej pracy o wiele częściej niż mężczyzna, z miłością i poświęceniem.

Mając przed sobą jeszcze długą i żmudną drogę wyzwolenia kobiety, powinnyśmy zerwać zupełnie z tą osławioną naszą *słabością*, a będąc silne słusznością naszej sprawy, skupić się, wytężyć całą energię, by posunąć postęp ludzkości o krok dalej ku sprawiedliwości i prawdzie w pracy o przyznanie kobiecie *praw człowieka*".

Po spożyciu wieczornego posiłku, uczestnicy zgromadzenia wysłuchali jeszcze ważnego odczytu p. Maryi Indyckiej, która, głęboko przejęta uczuciem serdecznej radości, do miłych gości z temi zwróciła się słowy:

„Witam Was Siostry kochane i Was także Bracia! Witam Was w tym grodzie naszym prastarym—Krakowie! I dziękuję, żeście zechcieli tak chętnie odpowiedzieć na nasze zaproszenie.

Wezwaliśmy Was, aby wspólnie się naradzić, jak w tych ciężkich czasach żyć dla Boga i dla miłej Ojczyzny. Trudne czasy nastały: jeszcze niedawno w Królestwie każdy objaw życia, myśli społecznej i narodowej, a nawet religia, były tłumione. Dziś niby zaświtały pierwsze brzaski wolności. Ale ileż to burz, ile zamętu, ile krwi się leje! Ludzie po prostu tracą głowę i nie wiedzą jak żyć, jak służyć obecnie sobie i braciom...

Pod rządem pruskim nie lepiej się dzieje; wszystko, co nam jest drogie i miłe, jest tam prześladowane: język, wiara!... Patrzmy na te tysiące dziatwy polskiej, męczeńskiej!!! i uczmy się od niej tej miłości skarbów naszych; miłości wiary naszej świętej, miłości Ojczyzny, języka, zwyczajów!

O, my tu w Galicyi potrzebujemy odnowić te uczucia; bo chociaż Galicya jest jedynym kątkiem Polski, gdzie swobodnie językiem naszym mówimy, swobodnie wiarę naszą wyznajemy — jednak i tu jesteśmy sierotami. Niema władzy nad nami prawdziwie polskiej, naszej, ojcowskiej, którąby dbała o nasze interesa materyalne i duchowe... któraby zachęcała nas do miłości Ojczyzny, do pracy dla niej, dla współbraci! My nieraz umiemy mówić nawet dobrze po polsku, ale nie wiemy, że jesteśmy Polakami; mamy w ręku naszem najdroższe skarby narodu naszego, ale nie umiemy ich uszanować.

Ale zastanówmy się tu dzisiaj, jakie to skarby narodowe my posiadamy jeszcze, mimo że los i wrogowie tyle nam ich wydarli!...

Wiecie, jakie są skarby nasze?

Oto naprzód ta wiara prastara ojców naszych — ta wiara, która z ludzi, ot takich, czysto ziemskich, niedołężnych, malutkich, biednych — czyni istoty szlachetne, cnotliwe, żyjące i walczące duchem, bohaterów, pełnych siły, zdolnych żyć dla dobrej sprawy, każdy dzień, każdą godzinę, każde tchnienie swoje, każde uderzenie serca swojego dla tej sprawy oddawać. O! daleko jest trudniej żyć każdą iskierką życia swojego dla jedynego celu, cierpliwie, wytrwale, bez zniechęcenia, niż umrzeć raz, niż dokonać czynu bohaterskiego. Do takiego czynu daje nam siłę miłość: miłość Ojczyzny, każda prawdziwa miłość. Ale tę siłę zacnego życia, siłę pracy ciągłej, walki ciągłej, siłę wytrwania daje nam wiara tylko — i to jest naszym pierwszym skarbem narodowym.

Następnie najdroższym naszym skarbem — to jest polskość nasza — jej wyrzec się nie mamy prawa. W tej wielkiej rodzinie, w Polsce umieścił nas Bóg i dla niej żyć musimy, dla niej pracować, bronić każdego szmatu ziemi i każdej strzechy. Znać dobrze jej język, jej przeszłość, wsłuchać się w tętno, które dziś bije w jej łonie, odgadnąć przyszłość i pracować dla tej przyszłości!

Ale jakże pracować dla niej będziesz specyalnie o ty, o matko Polko, niewiasto Polska?! Czy ty wiesz, jakie są twe skarby nad skarbami, których strzedz powinnaś? Twoje skarby i skarby narodu naszego — to dzieci twoje! To młoda Polska — to Polska, co jutro będzie, a dziś w powiciu spoczywa w twoich ramionach. Ty ją tulisz do swej piersi. O, kochaj ją, kochaj bardzo! Tyś jej dała życie fizyczne, o daj jej jeszcze życie duchowe. O matko Polko! o niewiasto Polska! poznaj twoją godność. Ty tyle możesz dla Ojczyzny naszej, ty nieomal trzymasz w swych

rękach jej losy. Taką przyszła Polska będzie, jaką ty ją wypiastujesz. Więc w programie naszych prac narodowych niewieścich, niech na pierwszem miejscu stoi troska o wychowanie młodego pokolenia. Dbaj o jego rozwój ciała i duszy. Niech silne będzie, niech zacne będzie! niech posiada wiarę świętą swych Ojców, która siłę mu da na wszystkie burze żywota. Niech dziecko twoje kocha od kolebki kraj swój, niech go zna, niech się zań modli i uczy się od maleńkości dla niego pracować, t. j. niech od maleńkości gromadzi bogactwa, któremi kiedyś służyć mu będzie; niech gromadzi chętnie światło nauki, ćwiczy i pielęgnuje swoje członki, kształci swoją duszę, charakter i wolę. A ty, matko droga, jemu dopomagaj, kształć, kształć jego wolę; powiedz jemu, czego ma chcieć i jak ma chcieć. Czuwaj nad twym skarbem, o matko, aby do duszy dziecka twego chwasty się nie wkradły, które uduszą wszelkie dobre ziarno i uczynią z dziecka twego ciężar i plamę Ojczyzny. Och, za takie dzieci Bóg chłosta Ojczyznę! Niech twoje dzieci, matko Polko, przechylą szalę sprawiedliwości Bożej ku naszemu błogosławieństwu. Więc strzeż od chwastu, od złego ziarna i od kąkolu serce twych dzieci. Niech te istotki samopas nie błąkają się poza domem, znaj, matko, każdą myśl twego dziecka, każde drgnięcie serca i wypleniaj, co złe, wzmacniaj, co dobre i ucz dziecko, by samo pracowało nad charakterem swoim. Charakter zacny a silny – to grunt! Na takim gruncie zmartwychwstanie Polska. Pracuj więc, matko, nad charakterem dziecka twego, pracuj nad twoim własnym, pracujmy wszyscy! Niech każdy się odrodzi i będzie nowym człowiekiem, a zmartwychwstanie, zmartwychwstanie Polska! Niech więc nikt nie szczędzi trudu i ofiar; niech każdy przyniesie swój grosz, swoją cegiełkę pracy.

Czy wiecie, co się jeszcze ogromnie przyczynia do wykształcenia charakteru? Otóż zadać sobie jakąś wyraźną pracę, odmawiać sobie ciągle i zawsze czegoś, co nas kosztuje, co nam przyjemność sprawia. Szczególnie i stanowczo odmawiajmy sobie wszelkich przyjemności niepotrzebnych i szkodliwych. To kształci charakter! Oto są już rozpoczęte niektóre prace narodowe, które dążą do wykształcenia charakteru narodowego, a takiemi są stowarzyszenia, tak zwane wstrzemięźliwości: od picia, od alkoholu, od gry w karty, od życia rozwiązłego, a nawet od tytoniu! A bo to wszystko zatruwa zdrowie ludzi, skraca ich życie, doprowadza często do nędzy i czyni niezdolnymi do pracy dla Ojczyzny. Ile to ludzi tą drogą doszło do ruiny! ile to nawet drobnym groszem przepiło się pieniędzy, przegrało się, z dymem, z tytoniem puściło. Policzmy tylko! Zebraćby ten grosz od rozbioru Polski, tobyśmy ją już odkupili — nie krwią, ale pieniędzmi. O zważmy na to i uczmy się oszczędności. Uczmy się oszczędzać i dawać na cele narodowe, na cele dobra ogólnego grosz, któryśmy mieli marnie wyrzucić. Patrzmy na sąsiadów Czechów, jak tam praktyczny patryotyzm rozbudzony. Ale nietylko Czesi, ale i Czeszki, kobiety, stanowią tam poważną siłę narodową. Tam każdy swoją cząstkę pracy przynosi, swój grosz składa na założenie bibliotek, czytelni, szkółek. Oświata się szerzy, a z nią i nadzieja lepszego jutra. Kochajmy serdecznie co nasze, nie mówmy, jak ongiś: „Co obce, to lepsze“ — o nie! Ale nie pogardzajmy dobrym przykładem innych. Jak pszczoły znośmy do swego ula obfite plony, zaczerpnięte zewsząd. Ot, jeszcze tam w Danii, małym kraiku, a jacy tam ludzie mądrzy, jacy uczeni! Tam nie znajdziesz chaty, coby swojej biblioteki nie miała, człowieka, coby gazety nie czytał. Tam z każdym człowiekiem pomówić miło o wszystkich sprawach bieżących, o polityce, o literaturze, a nawet o filozofii. Dlaczego tak samo nie miałoby być kiedyś i w Polsce?! Weźmy się no jeno dobrze do pracy! ale do każdej pracy! Tam, gdzie ludzie prawdziwie uczeni — nie wstydzą się jej, bo praca to źródło bogactwa narodu, a nam i tego trzeba, by podźwignąć nasz kraj. Człowiek, im więcej uczony, tem lepiej wykonywa każdą pracę. Uczmy się więc dlatego, aby zrozumieć, co się dzieje wkoło nas, co się dzieje w kraju naszym; ale także dlatego, aby się uzdolnić do doskonałej pracy. Patrzmy jeszcze raz na Danię, Szwecyę i Norwegię — tam naprzykład rola mniej dobra niż u nas, a przynosi plon bogatszy; bo lud tam jest wykształcony i umie obchodzić się jak trzeba z tą rolą. I choć uczony, nie wstydzi się żadnej pracy. Każdy tam nieomal kończy wyższe nauki, a powraca do pługa lub do rzemiosła.

Więc dzisiaj zastanówmy się tu nad wszystkiem! Poweźmy poważne i praktyczne postanowienia i żyjmy według nich. A nie ograniczajmy się tylko do siebie. Rzucajmy gdzie można ziarno światła i dobrych zasad. Niech każdy z nas ma za święty obowiązek choć

jednę, choć dwie osoby zdobyć dla dobrej sprawy, a szczególnie swoje otoczenie i swoje własne dzieci, abyśmy wkrótce jednem sercem i jedną myślą, jak jeden mąż pracowali dla jednego i tego samego celu: „Odrodzenia i zmartwychwstania Polski“. A mówmy sobie, że pierwszym krokiem naszego zbawienia, bez którego wszystko inne na nic się nie zda — to praca nad charakterem naszym, nad wychowaniem samego siebie. Niech każdy stworzy w sobie charakter zacny a silny, aby każdy z nas był zdolnym przynieść jak największą sumę pożytku społeczeństwu swojemu. Tak pracując, uratujemy Ojczyznę; wrogi nas nie przemogą. I w takich warunkach szczerze zawołać będziemy mogli: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Wreszcie omówiono jeszcze organizacye wspólnej przyszłej pracy i dano sobie nawzajem uroczyste przyrzeczenie, że wszelkiemi siłami starać się będą uczestnicy tej wycieczki u siebie w okolicy popierać prenumerowanie „Przodownicy“, jako organu swego Związku, jako głosu swych przekonań i celów, a kilkudziesięciu nowych abonentów zaraz się na miejscu zapisało.

Nazajutrz, w niedzielę, znów odbyło się nabożeństwo, tym razem w kościele na Skałce, gdzie w podziemiach śpią snem wieczystym nasi najzasłużeńsi mężowie: uczeni, poeci i artyści.

Poczem w dalszym ciągu odbywało się posiedzenie. Przemawiała na niem najpierw p. Starzewska o „Spółkach przemysłowo-rolnych“. Jest to tak ważna i doniosła sprawa dla naszego odżycia i wzmożenia się ekonomicznego, że przemówienie to także tutaj podajemy:

„Stwierdzając pewnik, że nam się źle dzieje, przedewszystkiem zastanowić się mamy nad przyczyną oraz sposobem, w jaki należy zapobiegać złemu. Pamiętać bowiem należy, że tam, gdzie chodzi o nasze interesa, na nikogo oglądać się nie możemy, lecz liczyć przedewszystkiem na siebie, na własną pracę i tężyznę. W ten sposób potrafili gdzieindziej ludzie osiągnąć ogromne korzyści. Wyrobili w sobie zmysł samopomocy i łączności.

Zmysł ten nauczył ich, że poprawę losu rozpoczynać trzeba od poprawy swego działania, że człowiek sam jeden, choćby najmądrzejszy, bez pomocy drugich nic zdziałać nie potrafi, bo do pracy nad poprawą bytu trzeba się z drugimi łączyć, organizować, ażeby w ten sposób wpłynąć na zmianę stosunków.

Kobiety dotychczas nie brały udziału należytego w pracy dla ogółu. Wina to częścią stosunków, a częścią i nas samych; więc trzeba organizować się na polu gospodarstwa, na polu ekonomicznem.

Pismo św. mówi: „gdzie Was trzech zgromadzonych w imię Boże, tam Ja z Wami“; nie ma to oznaczać ilości zgromadzonych, ale ma być wskazówką i zachętą do łączności wogóle.

W każdej organizacyi słabsi i nieoświeceni doznają opieki silniejszych i oświeconych, ci zaś mają pole do zużytkowania swej energii i zasobów moralnych i w ten sposób tworzy się współdziałanie, przez które wszystko zdobyć można.

Bieda w kraju naszym jest wielka, odczuwają ją zarówno w mieście jak i na wsi, więc dlatego powinniśmy się wzajemnie zbliżyć do siebie.

Mieszkańcy miasta są spożywcami tj. kupującymi, mieszkańcy wsi wytwórcami tj. sprzedającymi, jeżeli więc stoimy do siebie w prostym stosunku, a wam jest źle i nam nie dobrze, to wina leży w systemie gospodarczym i sposobie wymiany tego waszego dobra.

Oto nasz system gospodarczy, który pochłania $^3/_4$ wartości produktu, szkodzi spożywcy, bo zmusza do płacenia zbyt wysokich cen i szkodzi wytwórcy, bo go zmusza do sprzedawania za zbyt nizkie ceny.

Organizacya wspólna spożywców z jednej, a wytwórców z drugiej strony usunęłaby całą tę niepotrzebną trudność, bo z rąk wytwórców oddałaby bezpośrednio towar w ręce spożywców, czyniąc to przy pomocy stowarzyszeń spożywczych w mieście, a przy pomocy spółek przemysłowo-rolniczych na wsi.

W kraju naszym, czysto rolniczym, gdzie plony tej ziemi wystarczyłyby na dostatnie wyżywienie nas wszystkich i na wywóz znaczny do obcych, jest bieda; ta ziemia źle jest obsłużona, po staroświecku się na niej gospodaruje i dlatego mało przynosi; pieniądze od nas z kraju wychodzą, a mało co do nas wraca.

Do miast sprowadzamy chleb żytni razowy, taki jaki po wsiach pieką i przepłacamy go, sprowadzamy kiszoną kapustę, nie mówiąc już o pieczywach biszkoptów i sucharków, konserwach z jarzyn i owoców, a przecież

to wszystko mogłoby być u nas przygotowywane; pewno, że przerób artykułów spożywczych w jednem ręku się nie ustoi, boby drogo wypadło i nie mógłby współzawodniczyć z zagranicą; wytwórczość taka musi być robiona fabrycznie, przemysłowo, a do tego trzeba maszyny, trzeba najnowszych wiadomości wiedzy technicznej.

Ale można na to poradzić, łącząc się wspólnie w organizacye, któreby prowadzili ludzie fachowo wykształceni, a zyskami dzieliliby się członkowie.

Cóż łatwiejszego jak założenie takiej piekarni spółdzielczej na wsi, gdzieby wypiekano chleb na potrzebę mieszkańców kilku wiosek? Ileż to pracy i opału zużyją gospodynie, zanim chleb wypieką, każda dla swego domu, a ile zakalców! a przecież ta praca ich mogłaby być w inny, pożyteczniejszy sposób zużytą.

A oprócz pokrycia własnych potrzeb możnaby chleb wysyłać do miasta, ten chleb razowy, który na skutek poleceń lekarskich coraz więcej jest poszukiwany i drogo z zagranicy sprowadzany; chleb taki byłby lepszy, zdrowszy, taniejby kosztował, a piekarnia przyniosłaby zyski, którymi dzieliliby się członkowie.

A n. p. kiszenie kapusty, czy nie możnaby w okolicy, w której kapusta się udaje, założyć takiej spółdzielczej fabryki, któraby kapustę według najnowszych przepisów zakwaszała, aby nie sprowadzać z za kraju, aby ile możności żaden cent nie szedł do obcych.

W kraju rolniczym nawet cebuli na naszą potrzebę nie mamy, a prawie miliony koron wysyłamy rok rocznie z kraju za cebulę.

A chów drobiu! Ileż on pozostawia do życzenia. Dobrego drobiu u nas niema, zasilamy się styryjskiemi pulardami, a te biedne nasze kurczęta, to istne suchotniki, i tak trudno o nie; trzeba czekać, aż się jakiejś kurce spodoba siedzieć, a teraz już i na to są sposoby, bo gdzieindziej już na łaskę i niełaskę kur się nie spuszczają, ale mają maszyny do wylęgania, do wychowywania kurcząt.

Maszyny te kupuje się znowu za wspólne pieniądze, chów prowadzi fachowiec, a zysk znów rozdziela się między członków spółki.

J e d n ą z n a j w a ż n i e j s z y c h g a ł ę z i w g o s p o d a r s t w i e w i e j s k i e m j e s t mleczarstwo, które u nas dotąd bardzo zaniedbane, teraz zaczyna się podnosić.

Staraniem Tow. gospod., oraz Zarządu Kółek roln. rozwijaną jest żywo praca koło podniesienia chowu bydła przez oddawanie rozpłodnika, oraz pobudzenia włościan, by wytwarzali większą ilość paszy, celem podniesienia chowu bydła, mleczności krów a następnie zakładania spółek mleczarskich.

Zadanie spółki polega na tem, aby jak najkorzystniej mleko dostarczone przez członków z ich gospodarstw sprzedać, a czyni to najskuteczniej przez spieniężanie śmietany z dostarczonego mleka na wyrób masła. Taka spółka z dostawionego mleka oddziela zapomocą maszyn w oczach właściciela śmietanę, a mleko chude zwraca temuż, który je zużyje na własne wyżywienie, jeśli go więcej, to na ser lub wypas trzody.

Działalność spółki mleczarskiej przynosi członkom bardzo ważne korzyści.

1. Przedewszystkiem większy a przytem łatwy i stały dochód pieniężny.

2. Oprócz stałego dochodu z miesięcznych wypłat, który staje się rodzajem takiej miesięcznej pensyi, zdatnej na spłacenie rat, na podatki, o t r z y m u j e k a ż d y d o s t a w c a dopłatę z czystego zysku rocznego, jaki spółka wykaże. Dopłaty te mogą być przy dobrym gospodarstwie w spółce wcale pokaźne.

3. Spółka zaoszczędza dostawcy nietylko miejsca na przechowanie nabiału, ale różnych drobnych wydatków na naczynia i t. p.

4. Gospodyni zyskuje na czasie, którego nie zużywa na robotę koło mleka, masła, na zabiegi koło sprzedania.

5. Pod wpływem działalności Spółki wytwarza się d b a ł o ś ć o d o b ó r k r ó w i i c h n a l e ż y t e c h o w a n i e. Jest okazya zarobku, to się ludzie o ten zarobek starają.

6. Dbałość o bydło dla powiększenia dochodów z mleka wpływa na podniesienie całego gospodarstwa rolnego. R o l a p r z e z c z ę s t s z ą u p r a w ę, o k o p y w a n i e, n a w o ż e n i e, c o p r z y p r o d u k c y i p ł o d ó w p a s t e w n y c h m u s i m i e ć m i e j s c e. p o p r a w i a s i ę, p o d n o s i w u p r a w i e,

Dlatego w okolicach, gdzie spółka parę lat pomyślnie pracuje, powiadają ludzie, że s p ó ł k a d a ł a i m d r u g i g r u n t, ponieważ z dawniejszego gospodarstwa mają prawie podwójne dochody.

Może się ktoś zapytać: a jakimże sposobem spółka może więcej płacić dostawcom jak dawniej zarabiali, a przytem opłacać ludzi fachowych, którzy ją prowadzą i jeszcze po rocznym obrachunku zyski obiecywać?

Pochodzi to stąd, że:

1. Mleczarnia przy pomocy udoskonalonych

maszyn i sposobów wyrobi z tego samego mleka wiele więcej masła.

2. Masło wyrobione udoskonalonym sposobem jest daleko lepsze, ma większą wartość.

3. Cenę lepszą uzyskuje przez to także, że ma towar jednolity, a nie taki jak handlarze, co rozmaite masła po jarmarkach skupują, mieszają razem i jeszcze zabrudzają.

4. Masła sprzedaje naraz dużo, jednakiego, dobrego, więc sprzedaje większym odbiorcom i zagranicy dostawiać może i jak największą cenę uzyskać.

I tak powstała spółka w Rybnej w pow. bocheńskim w r. 1902 ma 500 członków, przerobiła około $4^{1}/_{2}$ mil. hl. mleka, a wypłaciła członkom swoim 385.273 koron.

Dochód od jednej krowy przynosi członkom spółki 120—200 koron, zależy on od dojności krowy. Jeden z tamtejszych włościan, który przed wstąpieniem i założeniem mleczarni nauczył się prowadzić rachunki gospodarskie, wykazał, że dawniej od 2 krów za masło i sery miał 150 kor., a więc 75 kor. od krowy mimo, że miał gotowe zamówienia i lepsze ceny uzyskiwał od sąsiadów. Obecnie każda krowa daje mu przeszło dwa razy tyle dochodu, oprócz tego, wskutek racyonalnej gospodarki, rola mu się poprawiła tak, że teraz może 3 krowy uchować i ma z nabiału 600 kor. rocznie.

Bydło w Rybnej poprawia się, złe sztuki się sprzedaje a stara o lepsze. Widać staranniejsze chodzenie koło bydła, które dostaje jeść dobrze i mleko dobre daje.

W wiosce widać wzrastający dobrobyt gospodarczy, chaty wyrastają czyste, nowe, podmurowane, a w założonej w r. 1905 spółce Kasie Reiffeisena złożono już 64.000 a to wszystko majątek członków spółki.

Oto pierwsze owoce rozumnej i wspólnej pracy.

Wobec tego, że korzyści ze spółek mleczarskich są aż nadto widoczne, gdyż przyczyniają się do zwiększenia dochodów, do poprawy urodzajności gruntów, należałoby rozbudzić jak największe zainteresowanie się tą sprawą, by przez zakładanie spółek mleczarskich poprawić swój dobrobyt.

Jak zakładać spółki mleczarskie poucza bardzo dokładnie dr. Stefczyk, dyr. Biura patronatu, w broszurce p. t. „O zakładaniu spółek mleczarskich“.

Na czele bowiem organizacyi spółek stoi kraj. patronat, powołany do życia uchwałą sejmu r. 1899, rozwijający niesłychanie szybką i wydatną działalność dla kraju.

Patronat ten ma pod opieką spółki oszczędności i pożyczek, kasy Reiffeisena i ma rozwijać wszystkie typy spółek rolniczych, dla jakich w kraju znajdą się warunki działania.

Więc zakłada spółki mleczarskie, zasila je funduszem, stara się o siły fachowe i kieruje całą akcyą tak pod względem zarządu jak i fachowym.

W zaufaniu we własne siły i rozumnej gospodarce spółdzielczej tkwi przyszłość nasza na każdem polu.

Już Stuart Millten, wielki ekonomista powiedział, że ze wszystkich ruchów najwięcej obiecującym dla podniesienia społecznego tych co żyją z pracy rąk swoich, jest ruch spółdzielczy.

Łączność, solidarność, wspólne działanie, powinniśmy wypisać na naszym sztandarze. Przez brak tych cnót, przez brak organizacyi upadliśmy, przez organizacyę powstać musimy.

Trzeba więc wdrażać się do tej idei, głosić te myśli, wpajać je w wychowanie młodzieży.

Należałoby naukę o asocyacyi wprowadzić do szkół naszych. Najsposobniejsze do tego byłyby szkoły rolnicze i zawodowe, seminarya nauczycielskie, ale nie ustawać w pracy dopóty, dopóki nauka o asocyacyi nie zostanie wprowadzona począwszy od Uniwersytetu, skończywszy na szkole ludowej.

Stawiam zatem wniosek: zebranie dzisiejsze wybierze subkomitet, który ma zredagować do władz kraj. i rządowych petycyę o wprowadzenie do szkół nauki o asocyacyi“.

Referat p. Sikorskiej z Czernichowa, o gospodarstwie kobiecem również bardzo zajął słuchaczy i nakłonił ich do zastanowienia się nad obmyśleniem sposobów, których prowadzenie domu przez gospodynie na lepsze niż dotychczasowe tory wepchnąćby zdołały.

Ostatnie przemówienie było profesora M. Magiery o stanowisku niewiasty w rodzinie, które również zamieścimy w następnym numerze „Przodownicy“.

Wkońcu Marya Siedlecka przedłożyła następujące wnioski, które przyjęto jednogłośnie.

Uczestnicy i Uczestniczki zjazdu dnia 29 i 30 czerwca:

1. wyrażają cześć i uwielbienie matkom

i dziatwie polskiej, walczącym o wiarę i mowę polską pod zaborem pruskim;

2. przesyłają wielkiej pisarce polskiej Elizie Orzeszkowej wyrazy hołdu i uwielbienia, za jej niespożytą pracę na niwie narodowej;

3. polecają komitetowi urządzanie rok rocznie zjazdów w Krakowie, w dni Zielonych Świątek;

4. zjazd postanawia jednać jak największą liczbę uczestniczek i uczestników zjazdów, oraz prenumeratorów i prenumeratorek „Przodownicy“;

5. brać czynny udział w każdej pracy narodowej, w szerzeniu oświaty i moralności;

6. wychowywać dzieci w duchu narodowym na przyszłych dzielnych obywateli kraju;

7. zakładać czytelnie, ochronki i schroniska dla dzieci po wsiach i miasteczkach;

Zjazd poleca komitetowi:

wniesienie petycyi do parlamentu i sejmu krajowego;

a) do Wydziału krajowego o założenie szkoły wędrownych nauczycielek, któreby pouczały z zakresu wychowania, hygieny, gospodarstwa domowego i wiejskiego.

O ograniczenie wydawania ilości konsensów na szynki, oraz o zarządzenie zamykania gospód i szynków w niedziele i święta;

b) zakładanie przynajmniej w każdym powiecie szkół gospodarczych, zawodowych, i rękodzielniczych dla kobiet.

8. O rozszerzanie gazetki „Przodownica“ i zamienienie tejże przynajmniej na dwutygodnik, jeżeliby nie było możliwe wydawać jej co tydzień.

Imieniem komitetu zjazdu M. Siedlecka, dziękując serdecznie za przybycie, przyrzeka szanownym uczestnikom zjazdu pomoc w zakładaniu czytelń, ochron, urządzaniu odczytów i pogadanek po wsiach i miasteczkach, zachęcając najgoręcej do podjęcia w tym kierunku pracy.

Po obiedzie udali się uczestnicy zjazdu do teatru ludowego na przedstawienie „Kościuszko pod Racławicami“, która to sztuka głębokie i potężnie wywarła na nich wrażenie.

Umocnieni na duchu i pokrzepieni nadzieją blizkiej już i lepszej doli, która dzięki wspólnym usiłowaniom zjednoczonych kobiet polskich do nas zawita, rozjechali się mili goście późnym wieczorem lub w poniedziałek rano do domów, unosząc w sercu radość i otuchę i pewność, że poradzimy sobie — byle razem, byle świadomie, byle chętnie jąć się walki ze złem!“

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Śmierć Leszka Białego sprowadziła na Polskę wielkie zamieszania i klęsk niemało. Syn Leszka. Bolesław V., liczył lat sześć dopiero; uznano go wprawdzie za władcę Polski, ale o opiekę nad nim ubiegali się: Konrad, książę mazowiecki, stryj Bolesława. oraz brat stryjeczny jego, książę wrocławski Henryk Brodaty. Powstały stąd liczne zatargi i spory, a nawet kwawe boje, które kraj niszczyły a ustały dopiero w r. 1238, gdy Bolesław, jako szesnastoletni młodzieniec, sam objął rządy. W następnym roku poślubił królewnę węgierską Kingę, nader świętobliwą dziewicę, która oddając mu rękę, zastrzegła sobie niewinność i skłoniła Bolesława do życia w czystości, wskutek czego nazwano go „Wstydliwym“.

O królowej Kindze, uznanej później za świętą, przechowała się piękna legenda. Gdy przybyło do Budy, ówczesnej stolicy Węgier, poselstwo od Bolesława z prośbą o rękę Kingi, a ojciec jej, król węgierski, Bela IV., przychyliwszy się do życzeń Bolesława, obmyślał dla córki swojej wyprawę, zapytała Kinga, według owej legendy, posłów polskich, czego brakuje ich ojczyźnie; posłowie odpowiedzieli, że dzięki Bogu nie zbywa Polsce na niczem, nie dostaje jej tylko soli, którą z Węgier sprowadzać trzeba. Wówczas Kinga prosiła ojca, by jako wiano dał jej jedną z żup solnych, a gdy Bela zadosyć uczynił jej życzeniu i dał jej żupę tak zwaną „Stefanową“, Kinga kazała się do żupy tej zawieźć i na znak objęcia jej w posiadanie wrzuciła pierścień złoty do szybu. Gdy następnie przybyła do Polski i w uroczystym pochodzie dążyła przez pola Wieliczki do Krakowa, zatrzymała się na nich i zażądała, by we wskazanem przez nią miejscu szyb bito, a skoro uczyniono zadość jej żądaniu i ze zdziwieniem i radością sól odkryto, kazała rozbić pierwszą wydobytą jej bryłę, z której wypadł ów pierścień, wrzucony do szybu na Węgrzech!

Poetyczna ta legenda powstała stąd zapewne, że Królowa Kinga opiekowała się ze szczególną pieczołowitością kopalniami soli w Wieliczce i Bochni, posprowadzała do nich znako-

mitych górników węgierskich i doprowadziła kopalnie te do kwitnącego stanu, który rozsławił je po całym świecie.

Tymczasem przecież, pomimo, że na tronie polskim zasiadał mąż wielce pobożny, a obok niego święta królowa, ojczyzna nasza przechodziła bardzo ciężkie koleje. Licznie rozrodzeni książęta z rodu Piasta, kłócili się i swarzyli pomiędzy sobą, a nieraz i krwawe staczali boje. Osłabiało to Polskę niezmiernie, z czego korzystając Krzyżacy, tępili po cichu Prusaków i rośli w siły. Rosła w nie również pogańska jeszcze naówczas Litwa. Szczęściem, że ta ostatnia zabory swoje zwracała na wschód i południe, przeciw książętom normandzkim, ruskimi zwanym, oraz że wśród tych książąt, którzy zagarnęli naddnieprską Polskę, a panowali nad Mordwą, Muromem, Suzdalem, Moskwą i innymi północno-wschodnimi krajami, zamieszkałymi przez ludy turańskiego szczepu, wrzały stokroć gorsze swary i spory i niemal ciągle toczyła się krwawa, bratobójcza walka.

Od zachodu również nic na razie nie zagrażało Polsce, w Niemczech bowiem panował w owe czasy ogromny zamęt i „prawo pięści". Wrzała ciągła walka pomiędzy niemieckimi książętami, a możniejsi rycerze trudnili się jawnie rozbojem; napadali po drogach i gościńcach kupców i bezbronnych podróżnych, łupiąc ich i obrabowując całkiem bezkarnie.

Skądinąd jednak zagrażała Polsce niespodziewana, chwilowa wprawdzie, ale niemniej olbrzymia klęska. Był nią najazd Mongołów. W czasie tym bowiem powstało w środkowej Azyi, na olbrzymiej przestrzeni pomiędzy morzem Aralskiem na zachodzie, a wschodnim oceanem spokojnym, na północ od Chin i w południowej części dzisiejszej Syberyi, ogromne państwo mongolskie, którego ludność prowadząc po większej części życie koczownicze i żyjąc z pasterstwa, potrzebowała bardzo wielkich przestrzeni, a to tembardziej, że mnożyła się nadzwyczaj szybko. Mongołowie podbiwszy, pod wodzą hanów swoich, Chiny i inne ku południowi Azyi położone kraje, zwrócili się w początkach XIII wieku na zachód ku Europie. Była to istna wędrówka ludów. Tysiące Mongołów, małych ludzi o żółtej cerze, skośnych i wązkich oczach, a spłaszczonych nosach, uzbrojonych nieźle, jak na owe czasy, a siedzących na niedużych ale nadzwyczaj wytrwałych koniach, rozlało się po ziemiach moskiewskich, wiodąc ze sobą żony, dzieci, bydło i cały dobytek domowy. Pojawienie się ich było tem straszniejszem, jako zupełnie niespodziewane i przez nikogo w Europie nie przewidywane. Wobec ówczesnych ograniczonych środków komunikacyi, nikt tutaj o istnieniu państwa mongolskiego nie wiedział, a to tem bardziej, że odgraniczały je od Polski i Europy posiadłości książąt ruskich, oraz jeszcze dalej na wschód położone kraje rozmaitych ludów turańskich, pokrewnych Mongołom, do których władza książąt ruskich jeszcze nie sięgnęła. Książęta ruscy, zagrożeni przez ten zalew mongolski, zawiesili swe spory domowe i zebrawszy się razem stawili czoło Mongołom w r. 1224. nad rzeką Kałką; ponieśli jednak straszną klęskę. Mimo zwycięstwa tego Mongołowie wskutek śmierci wodza swego, Dżengishana, który umarł wkrótce po wspomnianej bitwie, wrócili na razie do Azyi; nie na długo jednak; już bowiem w r. 1239. wyprawił Oktaj, następca Dżengishana, przeszło 300 tysięcy Mongołów i pokrewnych im Tatarów, do Europy, pod wodzą Batuhana. Przerażeni książęta ruscy, nie czując sił do stawienia oporu takiej potędze, poddali się Batuhanowi i ucałowawszy „Basmę", t. j. odcisk stopy hańskiej, wytłoczony na wosku, uznali się poddanymi Mongołów. Batuhan opanował Kijów, d. 6 grudnia 1240 roku, z początkiem zaś r. 1241 niszcząc wszystko po drodze ogniem i mieczem, wkroczył w głąb Polski. Zniszczył lubelskie i zdobył Sandomierz. Rycerstwo polskie pod wodzą wojewody krakowskiego Włodzimierza stawiło czoło Mongołom i odniosło zwycięstwo nad przednią ich strażą pod Turskiem, lecz opadnięte następnie pod Chmielnikiem przez nieskończenie przeważające tłumy Mongołów, po mężnej obronie uległo przemocy; wówczas Bolesław Wstydliwy uszedł z żoną do Węgier, a Mongołowie spaliwszy Wiślicę i Kraków, pociągnęli na Wrocław, który również zniszczyli. Wreszcie przyszło do walnej bitwy pod Lignicą na Śląsku, gdzie książę wrocławski, Henryk Pobożny, po bohaterskim oporze, poległ niemal z całem naszem rycerstwem. Poległ, tak drogo jednak sprzedał Mongołom zwycięstwo, że ci, poniósłszy niezmierne straty, nie mieli już odwagi do posuwania się dalej na zachód, lecz zwrócili się na południe i spustoszywszy Morawy, pociągnęli przez Węgry, z powrotem do Azyi. Tak więc i tym razem trupy polskich wojowników zagrodziły drogę azyatyckiej dziczy i ocaliły wnętrze Europy, a przedewszystkiem niechętne nam Czechy i wrogie Niemcy od pożogi, mordów i zniszczenia.



BITWA POD GRUNWALDEM. (Według obrazu Jana Matejki).

Stan okolic, przez które przewalił się najazd mongolski był okropny; miasta, miasteczka i wsie leżały w gruzach, mieszkańcy zaś ich albo polegli od oręża najezdników, albo tułali się po lasach, nie śmiąc się z nich wychylić, a cierpiąc głód, zimno i nędzę.

Bolesław Wstydliwy powróciwszy z małżonką swoją, po ustąpieniu Mongołów z Polski, dokładał starań, by dźwignąć kraj z gruzów i niedoli; pragnąc zaś zaradzić jego wyludnieniu, zaczął sprowadzać kolonistów z Niemiec, nadając im rozmaite prawa i przywileje, w celu zachęcenia ich do osiadania w spustoszonej Polsce. Pozwolił także osiadać u nas żydom, których wówczas we wszystkich innych krajach Europy ogromnie prześladowano, a nawet tępiono, jako potomków tych, co umęczyli i ukrzyżowali Chrystusa Pana. Inni książęta piastowscy postępowali tak samo w swoich dzielnicach, jak Bolesław Wstydliwy, starając się o ich zaludnienie. Wobec wyludnienia, jakie pozostawił po sobie najazd mongolski, takie sprowadzanie obcych osadników wydawało się wówczas koniecznie potrzebnem; było jednak nader niebezpiecznem lekarstwem, które w narodzie naszym pozostawiło bardzo niezdrowe, nigdy się już zatrzeć niedające ślady.

Polak przywiązany jest do rodzinnej ziemi, kocha ją serdecznie i opuszcza niechętnie, a jeżeli go bieda z niej wypędzi, to tęskni do niej i stara się jak najrychlej do kraju powrócić. Niemiec ma inne całkiem usposobienie. Dla niego tam ojczyzna — gdzie dobrze. On byle miał dobrobyt, spokój, wygodę, a mógł się puszyć i wywyższać nad innych, to wszędzie zadowolony i nie zna co tęsknota za ojczyzną. To też Niemcy chętnie ciągnęli na żyzne polskie niwy, tem chętniej, gdy u siebie nie znali swobody, a nadto wobec ciągłych niepokojów, rozbojów, łupieztw i nieustannej wojny domowej, wciąż drżeli o swoją skórę i nigdy spokoju nie zaznali — a tu w Polsce dawano im ziemię i wolność i jeszcze pozwalano rządzić się ich własnem niemieckiem prawem, magdeburskiem zwanem, dlatego, że początkowo w sprawach sądowych wolno im było odwoływać się od wyroków miejscowych sądów, do najwyższego sądu niemieckiego w mieście Magdeburgu. To prawo magdeburskie przyjemne dla Niemców, bo ich narodowe, było wielkiem złem dla narodu i państwa polskiego, bo wprowadzało zamęt w prawodawstwo krajowe i wpływało na nie bardzo niekorzystnie, było bowiem daleko surowszem i mniej ludzkiem, niż nasze polskie przepisy prawne. Niemieccy chłopi, jako poddani ciałem i duszą swoim panom, nie mogli emigrować do Polski; szli do niej tylko mieszczanie niemieccy, którzy też prawie wyłącznie osiadali w miastach i wnosząc do nich swój obyczaj i prawo niemieckie, skazili je na długi czas, na wieki całe niemczyzną, wskutek czego powstał u nas ogromny rozłam pomiędzy wsią a miastem. Z powodu rozłamu tego społeczeństwo polskie w ogólności, a w szczególności rej w kraju wiodący stan rycerski, niechętnem okiem patrzyły na obce polskości miasta, a te nie mogły się tak rozwinąć i zakwitnąć, jak w innych krajach, gdzie nie były narodowi obcemi. Obcość ta miast naszych z czasem znikła, mieszkańcy ich stali się Polakami, wiernymi synami Polski, nim jednak przyszło do tego, wiele kraj nasz ucierpiał z powodu tych niemieckich praw i porządków w miastach naszych.

W pracy nad podźwignięciem Polski ze zniszczenia, wywołanego najazdem mongolskim, przeszkodził bardzo Bolesławowi napad Tatarów w r. 1259.

Mongołowie, jak już wiemy, bo bitwie pod Lignicą, wrócili do Azyi, Tatarzy jednak, którzy razem z nimi wówczas Polskę napadli, pozostali na zadnieprskich stepach i trzymając książąt ruskich w podległości, usadowili się na zadnieprzu stale, szerząc stamtąd rozboje i łupieże.

Pierwszy raz napadli Polskę, przy udziale książąt ruskich, we wspomnianym wyżej roku 1259. Zniszczyli lubelskie, sandomierskie i krakowskie. Sandomierz spalili, a mieszkańców jego wymordowali. Takiemu samemu losowi uległ Kraków, w którym jedynie obronił się zamek, oraz warowny klasztor św. Andrzeja.

Bolesław Wstydliwy, nie czując się na siłach do stawienia oporu Tatarom, i tym razem uszedł na Węgry i powrócił dopiero po trzech miesiącach, gdy Tatarzy, nasyceni zdobytymi łupami, ustąpili z Polski.

Po tym najeździe tatarskim Bolesław Wstydliwy panował jeszcze lat 20, mając niemało domowych kłopotów, oraz uganiania się z Litwinami, którzy, syci zwycięstw nad ruskimi książętami, zaczęli zwracać zagony swoje przeciw Polsce, a szczególnie przeciw Mazowszu.

Następcą swoim naznaczył Bolesław Leszka, od czarnych włosów Czarnym zwanego, syna Kazimierza, księcia na Kujawach, Sieradzu i Łęczycy, a wnuka Konrada, księcia mazowieckiego, który sprowadził ongi Krzyżaków do Polski.

Leszek Czarny był mężnym rycerzem, dowody osobistego męstwa i zdolności wojennych dał niejednokrotnie, biorąc udział w wyprawach Krzyżaków przeciw Prusakom; przestawanie jednak z tym niemieckim zakonem rycerskim bardzo niekorzystnie wpłynęło na Leszka, wzbudziło w nim bowiem zamiłowanie niemczyzny. Sprzyjając wszystkiemu co niemieckie, stał się on gorliwym opiekunem Niemców osiadłych w Polsce, przez co rozzuchwalił tych przybyszów, narażając się równocześnie narodowi i wzbudzając wśród niego niezadowolenie.

Początki panowania Leszka Czarnego uświetniły zwycięstwa nad Lwem, księciem ruskim, Litwinami i Jadźwingami. Ci ostatni, pokonani ongi przez Kazimierza Sprawiedliwego, teraz po zwycięstwach Leszka Czarnego zniknęli zupełnie z widowni dziejowej i nigdy się już na niej nie pojawili. Później rządy Leszka były mniej szczęśliwe. Zakłóciły je spory z duchowieństwem, oraz z Konradem, księciem mazowieckim, wnukiem owego Konrada, co sprowadził do Polski Krzyżaków, a jeszcze bardziej ponowny napad Tatarów. Wśród tych niepowodzeń umarł Leszek Czarny bezdzietnie w r. 1289, a Polskę zawichrzyły spory o tron po nim pozostały.

Wśród sporów tych, Przemysław, wnuk Władysława Plwacza, księcia wielkopolskiego, postanowił dźwignąć kraj z niedoli i zjednoczyć dzielnice Polski.

Władając Wielkopolską i Pomorzem, które odziedziczył za zgodą stanów tej dzielnicy, na mocy zapisu księcia pomorskiego Mestwina, czuł się dość silnym, by podołać temu trudnemu zadaniu. Ogłosił się królem polskim i ukoronował w Gnieźnie d. 26 lipca 1295 r. Koronacyi dokonał z wielką uroczystością prymas Polski, arcybiskup gnieźnieński, Jakób Świnka.

Od czasu zabicia św. Stanisława za króla Bolesława Śmiałego, władcy polscy nie koronowali się wcale — koronacya więc Przemysława wywarła silne i nader pokrzepiające wrażenie; książęta, lud i rycerstwo powitali ją z radością i kupić się przy królu zaczęli. Nie danem jednak było Przemysławowi dokonać rozpoczętego dzieła; stanęli temu na przeszkodzie margrabiowie brandeburscy, władający częścią Niemiec, graniczącą z Wielkopolską, a Brandeburgią zwaną. Margrabiowie ci mieli nadzieję, że wyłudzą Pomorze od księcia Mestwina; gdy im się to nie udało i Pomorze powróciło, za sprawą Przemysława, do Polski, której było dzielnicą, postanowili się na nim pomścić, spodziewając się zarazem, że żona Przemysława Ryxa, Niemka, skoro go nie stanie, odda jednemu z nich w małżeństwo córkę Przemysławową, a z nią i Pomorze. Korzystając z pobytu króla w pogranicznem mieście Rogoźnie, gdzie Przemysław z całym swoim dworem ochoczo obchodził zapusty, nasłali na niego skrytobójców, w środę popielcową d. 10 lutego 1296 r., którzy się niepostrzeżenie dostali do sypialni królewskiej i zamordowali Przemysława, po mężnej obronie, zanim zmorzeni snem dworzanie zdołali mu pospieszyć z pomocą.

Przemysław padł pod ciosami łotrów, nasłanych przez margrabiów brandeburskich, ale

myśl zjednoczenia dzielnic polskich z nim nie zginęła; podjął ją dzielny Władysław Łokietek i urzeczywistnił zwycięsko.

Inżynier E. Śmiałowski.

W rocznicę Grunwaldu.

Oczy całej Polski zwróciły się 15 lipca ku owemu zakątkowi w regencyi Prus wschodnich, gdzie leży wieś Grunwald, pamiętna po wszystkie czasy w dziejach narodu naszego. Tam w dniu 15 lipca 1410 roku rozegrała się owa „wielka wojna", która rozstrzygnęła o losie Korony polskiej i Litwy, tam złamana została ponura potęga Krzyżaków, tam, wedle wyrażenia poety, „Bóg kierował mieczem sprawiedliwego". Krzyżacy stanęli do walki, mając zaciężne chorągwie z Frankonii i Westfalii, Austryi i Szwajcaryi, z krajów nadreńskich, Brandenburgii, Miśnii, ze zniemczałego Śląska, a nawet z Czech i Moraw. Nasz Władysław Jagiełło wyprowadził wojsko z ziem Korony polskiej, Rusi halickiej i Podola, tudzież chorągwie litewskie pod wodzą Witołda. Po wysłuchaniu mszy św., Jagiełło zaczął wydawać dyspozycye do walki, a w kilka godzin później szyki polskie niezmiernym chórem zaintonowały pieśń wojenną: „Boga rodzico".

Starły się dwie potęgi. Krzyżacy wyparli hufce litewskie i śpiewać już zaczęli pieśń tryumfalną „Christ ist erstanden", pieśń, która w ustach ich była bluźnierstwem. Ale stały hufce polskie, jakby wrosłe w ziemię, powróciły oddziały litewskie i rychło szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na naszą stronę. O zachodzie słońca zasłały ziemię zniesione prawie doszczętnie szyki krzyżackie a zachód słońca stał się symbolem skruszonej potęgi tego zakonu, który pod płaszczykiem szerzenia chrześcijaństwa uprawiał pospolity rozbój.

Niestety hydra krzyżacka nie została starta z oblicza ziemi i pełzając u stóp zwycięzcy, wzrastała powoli w siły. Wiemy z historyi, w jaki sposób spadek po Krzyżakach objęli Prusacy i jak ci hołdownicy Polski, pełni pokory i ukrytej zdrady, zdołali z biegiem wieków wyrosnąć na pierwszorzędne mocarstwo. Nasza wina, wielka, dotąd jeszcze nieodpokutowana wina, że brandenburscy hołdownicy Polski są dzisiaj naszymi panami, którzy wobec nas depcą bezwzględnie wszelkie prawa boskie i ludzkie. Ale dzieje narodów, mimo wszelkich pozorów, nie są i nie mogą być tryumfem nieprawości, to też rocznicę bitwy pod Grunwaldem każdego roku wspominamy ku pokrzepieniu sił i umocnieniu wiary w przyszłość.

Prusacy nie cofają się wobec nas przed niczem. Wszak powstał niedawno w głowach tego zbiorowiska państwowego, ale nie narodowego, pomysł przymusowego wywłaszczenia z ziemi większych właścicieli polskich. Pomysł upadł dzięki „patryotycznemu" protestowi niemieckich właścicieli ziemi, którzy mając dobra na sprzedaż, obawiali się obniżenia cen ich ziemi. Ale sprawa ta wyłania się znowu w innej postaci, gdyż system pruski w robocie jest niedoścignionym. Gdyby jednakże i ten cios miał spaść na nas, to pozostaje nam lud, jako opoka polskości, ostoja myśli narodowej, niezwalczony szermierz wolności. Pozostaje mieszczaństwo pracowite, rządne, inteligentne, pionier postępu, a zarazem obrońca tradycyi.

A już liczyć możemy bezwarunkowo na dziatwę polską. Zaiste w dziejach ucisku narodowego nie znamy podobnego przykładu, ażeby nieletnia dziatwa polska tak długo o pacierz polski i o polską naukę religii walczyła z władzami szkolnemi, a nawet z policyą i żandarmeryą. I w historyi męczeństwa narodu naszego karta poznańskiej dziatwy będzie chyba na zawsze przykładem wzruszającego nad wszelki wyraz bohaterstwa, godnego dawnych wieków chrześcijaństwa. — I hołd, składany tej dziatwie na wiecach i zgromadzeniach w naszej dzielnicy, jest równocześnie hołdem dla tych ogólno-ludzkich ideałów, które dzisiaj niestety znajdują się w ogólnej poniewierce.

Ale na tych wielkich ciosach nie poprzestają Prusacy. Oni są ową żyjącą maszyną, która codziennie, bez ustanku, swojemi trybami wdziera się w nasze publiczne i domowe nawet życie, psując nieraz w zarodku rozpoczętą pracę. I czy to jest „Sokół", czy „Straż", czy teatr polski w Poznaniu, czy przedstawienie amatorskie, czy obraz w lokalu publicznym, albo w prywatnym domu, czy godło narodowe, czy książka — wszystko to wietrzy i widzi policya pruska, starając

się dostać w swoje ręce. Maczuga i szpilka — oto broń Prusaków wobec nas.

Czujemy i jednę i drugą, ciosy i kłucia. Ile razy jednakże ziomków naszych w zaborze pruskim spotka taki cios, lub ukłucie, niechaj krzepi ich wspomnienie Grunwaldu. Niechaj także pewni będą, że zbliża się Grunwald moralny dla potomków krzyżactwa. Odwróciła się od nich Europa cała, chociaż oni zawsze chytrzy i gotowi do podłażenia, gdy przeskoczyć nie można, starają się pochlebstwem zdobyć przyjaciół. Płonna to dotąd praca i da Bóg płonną pozostanie. A my, ufając w dobrą naszą sprawę, idźmy dalej tą samą drogą, która nas wiedzie do celu, do wolności Ojczyzny.

Wrogowie mrówek.

Mrówki mają wielu wrogów, więcej, niżby sądzić można, widząc nadzwyczajną liczebność ich kolonii. Lecz mnożność mrówek jest tak wielka, że strata kilku jednostek uchodzi niepostrzeżenie i zdziesiątkowane zastępy drobnego ludku natychmiast zapełniają braki z naddatkiem. Wrogowie mrówek należą do rozmaitych grup świata zwierzęcego. Kilka słów o nich zaczerpniemy z pracy wyłącznie przedmiotowi temu poświęconej.

Podczas swych długich i częstych wycieczek mrówki wystawione są na mnóstwo niebezpieczeństw: wpadają w jamy, wygrzebane w piasku przez poczwarki *lwa mrówczego*, stają się ofiarą poczwarek żuczków, które siedzą ukryte w pionowych norach; więzną różkami w niciach sideł, przytwierdzanych do ziemi przez pewne pająćzki. Ten ostatni trzyma się miejsc uczęszczanych przez mrówki i łowi je na pożywienie. Sporządza on sobie gniazdo w niższych częściach krzewów, o kilka cali ponad ziemią. Przedewszystkiem rozpina nieregularną małą siateczkę, pośrodku jej zawiesza rodzaj wydłużonego do ośmiu centymetrów rożka, z wylotem, mającym centymetr w średnicy, zrobionego głównie z bryłek ziemi. Pajączek spuszcza się na nitce, chwyta bryłkę nóżkami przedniemi, owija nitką przy pomocy nóg tylnych i przytwierdza ją do wylotu różka — oto sposób budowy. Liczne nitki łączą tę budowlę z przedmiotami sąsiednimi, utrzymując ją w stanie nieruchomym. Od tej całości zbiega ukośnie ku ziemi pewna ilość nitek, usidlających nieopatrznego przechodnia.

Krążąc pod gniazdem pająka, mrówka przechodzi obok jednej z tych ostatnich nitek, trąca ją różkami i — zostaje przyklejona bardzo mocno. Rozgniewana, szarpie się, wyrywa z ziemi nitkę i cofa się o ile tylko pozwala sprężystość tej ostatniej. Lecz naprężona nitka ściąga się z powrotem, pociągając gwałtownie mrówkę. Wstrząśnienia siatki wywołują z ukrycia pająka; ten rzuca się ku potrząsanej nitce, zwija ją co żywo przedniemi łapkami i nieszczęśliwa mrówka, utraciwszy oparcie pod sobą, zawisa w powietrzu, jak ceber na linie. Jeżeli zaś pomyślne warunki pozwolą jej uczepić się silnie pazurkami na ziemi, pająk ma sprawę trudniejszą. Schodzi wtedy na dół, staje przy niej, obrócony tyłem, wyciąga tylnemi łapkami ze swego organu tkackiego lepkie nitki i ciska je na swą ofiarę. Ta zostaje zmuszona do zwolnienia oporu, a pająk, znów zawiadomiony o tem targnieniem nici, niezwłocznie spieszy na górę, wlokąc zdobycz na nitce aż do siatki, która otacza wylot rożka. Tam przystaje i zarzuca mrówkę całym pękiem nici. Kiedy już dostatecznie jest owinięta, odgryza jej nogę lub wąsik i cofa się, czekając aż jad, wydzielający się ze szczęk jego, wywrze, swój skutek i mrówka zamrze. Nieszczęsna szamoce się jednak i śmierć następuje dopiero po długiem konaniu. W taki sposób upolowane mrówki idą na skład do różka, który jednocześnie służy za schronienie dla pajączka; tamże składane bywają jajka i tam przesiadują wykłute z nich poczwarki. Te ostatnie żywią się również mrówkami, które chwyta ich matka. Potrafią one jednakże brać udział w połowie, umieją nawet bez pomocy starszych, zebrawszy się po sześć do dziesięciu sztuk, załatwić pomyślnie tę sprawę.

Inny gatunek pająka, w inny sposób sporządza sobie ucztę z mrówek. Nie rozpina on ani sznurów, ani siatek dla przytrzymania zdobyczy, lecz w porze polowania krąży dokoła mrowisk, podkrada się do szeregu ciągnących na robotę mrówek i coraz porywa tę lub ową, niby tygrys, rzucający się na tragarzy karawany. Schwytawszy nagle jakiegoś osobnika słabszego, rannego lub obciążonego zbytnio, wlecze go na ubocze, do swego legowiska, które zawsze otoczone jest

resztkami, dostatecznie świadczącemi, czem się ten rozbójnik żywi.

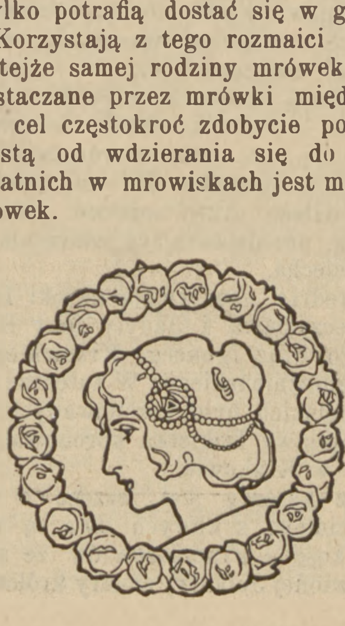
Podczas wychodzenia na świat, a zwłaszcza podczas zawziętych walk między sobą, mrówki narażone są często na napaści ze strony owadów błonoskrzydłych, które uczepiają im się w odwłok, zapuszczają żądło i składają jajka wewnątrz ciała mrówki. Nietylko dorosłe mrówki, lecz również ich poczwarki otrzymują taką porcyę jaj owadożernych błonkoskrzydłych, które rozwijają się wewnątrz ich tułowia, na koszt ciała nieszczęsnej ofiary i przebywaja swe przemiany w przygotowanym przez nią kokonie. Wszakże przedostanie się do gniazd mrówczych połączone jest dla tego owada z wielkiemi trudnościami, stąd też wyjaśnić można, dlaczego tak stosunkowo niewiele poczwarek pada ich ofiarą.

Sen, to niezbędne zjawisko fizyologiczne, dla istot zużywających tak dużo energii, jak również odrętwienie nocne przez chłód sprawione, znów sprowadza na mrówki nieszczęścia; zagrażają im żuczki mrówkożercze. Żuczek ten kryje się po najmniej uczęszczanych zakątkach gniazd mrówczych, zarówno naturalnych, jak sztucznych, schowany jak najstaranniej. Bo też mrówki prześladują go srodze: wykrywszy go, rzucają się z zajadłością, robotnice tryskają nań zjadliwą cieczą z odwłoka, królowe kąsają silnemi szczękami i naciskany zewsząd drapieżnik musi zmykać do innej kryjówki. Morderstwa swoje wyprawia on nocą, pozostawiając ślady ich przed swoją kryjówką. Czarna jego barwa i wielkość pośrednia między robotnicą a matką, czynią go trudnym do rozpoznania w mrowisku.

Wielka ilość osobników i nieustanne wyprowadzanie świeżego potomstwa, z jednej strony wprawdzie sprzyjają potędze państwa mrówczego, z drugiej jednakże sprawiają to, że rozmaite, indywidualnie silniejsze, zwierzątka zawsze są w możności żywić się ich kosztem, nie będąc same narażone na niebezpieczeństwa. Dzięki temu właśnie, takie zwierzęta, jak mrówkojad, prosię ziemne, dzięcioł zielony, młody bażant i ropuchy, niszczą bardzo znaczną ilość mrówek. Prócz tego ciągłe wędrówki, odbywane w długich i gęstych szeregach przez wiele gatunków mrówek, pozwalają pewnym błonkoskrzydłym chwytnym zaopatrywać swoje młode w prowiant mięsny. Tak czyni naprzykład owad-kopacz, który wygrzebuje płytkie dołki, rozrzucone bezładnie w ziemi piaszczystej.

Poluje on na pewien gatunek mrówki, który prowadzi drogi i ciągnie niemi w zwartych kolumnach, w okolicach Algieru. Porywacz unosi się w powietrzu parę cali nad drogą mrówczą, wybiera ofiarę z pośród najokazalszych, śledzi ją przez kilka sekund, spada na nią i unosi, ażeby ją zakłuć w pobliżu drogi. Nie zawsze mu się powodzi, więc często zmuszony bywa upędzać się długi czas za mrówkami, zanim jedną pochwyci. Ostatecznie w ciągu dnia zapełnia żywnością przeciętnie jedną komórkę; mieści się w takiej spiżarni ze czterdzieści mrówek, ułożonych jedna na drugiej. Pośród tej masy owad składa jedno białe, zakrzywione jajko. Jajko to przykleja on poprzecznie do gorsetu jednej z mrówek. Wszakże nagromadzone mrówki bynajmniej nie są martwe, gdyż ich różki i kończyny ustne wykonywują ciągle ruchy; dobrze wymierzone ukłucie sparaliżowało im tylko nóżki i odwłok, który posiada zapas groźnej trucizny, biedaczki więc leżą bezbronne. Wykłucie młodego owadu następuje mniej więcej po dwóch dniach; uzbrojona w ostre żuwaczki poczwarka, zabiera się do zjadania mrówek, które po czterech lub pięciu dniach zupełnie tracą siły i drętwieją. Doszedłszy do kresu rozwoju, poczwarka sporządza sobie kokon i przyczepia się w nim do sklepienia komórki, głową do góry, otoczona resztkami mrówek. Część tych szczątków służy do uzupełnienia roboty kokonu.

Wreszcie możność mrówek pozwala zaopatrywać się w pokarm wszystkim zwierzątkom, które tylko potrafią dostać się w głąb mrowisk. Korzystają z tego rozmaici przedstawiciele tejże samej rodziny mrówek; zacięte walki, staczane przez mrówki między sobą, mają za cel częstokroć zdobycie poczwarek. Specyalistą od wdzierania się do pokojów tych ostatnich w mrowiskach jest mały gatunek mrówek. *R. W.*



GNIEZNO.

Miasto to położone na kilku pagórkach jest otoczone trzema jeziorami. Gniezno należy do najstarszych miast polskich. Podług podania miał je założyć Lech około roku 550, a że tam znalazł gniazdo białych orłów, więc od gniazda siedzibę swoją nazwał Gnieznem. Gdy Lech umarł, usypano na cześć jego pagórek, zwany do dziś dnia górą Lechową. Na tym pagórku wznosiła się dawniej świątynia pogańska bogini Nii, a dziś stoi tam kościół katedralny, najdawniejsza pamiątka miasta. Kościół ten został wzniesiony przez Mieczysława I-go, kiedy, poślubiwszy Dąbrówkę, przyjął wiarę chrześcijańską.

Niewiele wprawdzie katedra gnieźnieńska zachowała pierwszych zabytków, przecież już to samo, że od 900 lat w jednem mieście się wznosi, zmieniając kształty, nadaje starodawnej świątyni znaczenie.

Bogactwa świątyni niejednokrotnie nęciły nieprzyjaciół Polski. I tak: najpierw zrabował ją Brzetysław, król czeski, potem spalili miasto Krzyżacy, później Szwedzi. W roku 1760 straszliwy pożar pochłonął większą część miasta i starożytną katedrę. Rozmaite skarby i pamiątki kościoła zdołano uratować i umieszczono znowu w odbudowanej świątyni, która zawsze za macierz wszystkich kościołów katolickich uważaną będzie.

Największą ozdobą katedry jest ołtarz św. Wojciecha na środku kościoła wzniesiony; znajduje się tam srebrna trumna ze szczątkami św. męczennika. Do najstarszych zabytków należą drzwi spiżowe, pokryte płaskorzeźbą, przedstawiającą zdarzenia z życia św. Wojciecha.

W katedrze spoczywają zwłoki Dąbrówki żony Mieczysława i Judyty żony Bolesława Chrobrego, oraz Ignacego Krasickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. W katedrze tej kilku królów polskich było koronowanych, dopiero od Władysława Łokietka koronowali się już królowie w Krakowie.

Oprócz katedry jest jeszcze w Gnieźnie ośm kościołów, z których dwa są najwspanialsze, kościół Franciszkanów ze zwłokami błogosławionej Jolanty, siostry królowej Kingi i św. Krzyża nad jeziorem Bielidło, założony w roku 1179.

Niewiadomo gdzie stał dawniej zamek królewski, wiemy jednak, że już Chrobry miał tam dworzec obszerny, w którym przyjmował cesarza niemieckiego Ottona III-go.

W tym czasie Gniezno było znacznem i ludnem miastem, dostarczyło ono na wojnę Chrobremu 6500 wojowników. Później bardzo podupadło, przyczyniły się do tego wojny i morowa zaraza. Dopiero za panowania Sasów miasto zaczęło się znowu podnosić, a dzisiaj liczy około 9000 mieszkańców. *W. C.*

UCZTA.

W wielkiej i długiej świetlicy, której ściany obite były kobiercami, stał stół dębowy, ciągnący się przez całą jej długość, a nakryty kijowskim obrusem śnieżnej białości. Jarzące światło z czterech wielkich, sześcioramiennych świeczników, ulanych ze szczerego srebra, padało na stół i na mnóstwo naczyń ze złota i srebra. Około stołu ustawione były ławy suknem czerwonem kryte, a w środku na podwyższeniu wznosił się tron cesarski, ponsowym aksamitem i złotemi frenzlami obity. Na ścianach błyszczały piękne zbroje, pancerze, hełmy, miecze, włócznie i topory, a pod ścianami stały beczki z piwem, winem i miodem, obok beczek stali pięknie przybrani podczaszowie, czekając na przybycie gości. Wśród odgłosu trąb, piszczałek i bębnów wszedł cesarz Otton III. a za nim Bolesław Chrobry, jego żona Kunilda, kobiety dworskie, biskupi, księża i rycerstwo obu monarchów. Gdy wszyscy zasiedli na przeznaczone sobie miejsca, służba zaczęła roznosić jadło na ogromnych srebrnych półmiskach. Cesarz Otton jadł mało, a mówił jeszcze mniej. Za to Chrobry jadł ze smakiem a pił jeszcze lepiej, ogromna twarz jego zaczerwieniła się mocno, a oczy ciskały groźne błyskawice, patrząc, czy gdzie czego nie brak.

Zobaczywszy komornika swego Niemirę, skinął na niego i rzekł: Po uczcie wszystkie naczynia złote i srebrne, dywany i zbroje ze ścian zanieście jak wczoraj i przedwczoraj

do komory cesarza. Niech mnie pamiętają Niemcy.

Nagle Chrobry podniósł się i olbrzymia jego postawa zdawała się panować nad całym tym tłumem. W ręku trzymał róg bawoli w złoto okuty i podnosząc go do góry, zawołał donośnym głosem: Za zdrowie cesarza Ottona, mego gościa! Zabrzmiały tysiączne okrzyki, wszyscy się podnieśli. Otton powstał także i biorąc róg z rąk Chrobrego, kazał sobie nalać weń wina i rzekł swym cichym, melancholijnym głosem: Piję za zdrowie mego brata Bolesława, króla polskiego! i duszkiem wychylił puhar.

Wyrazy „króla polskiego“ zrobiły ogromne na wszystkich wrażenie. W izbie zapanowała cisza i wszyscy patrzyli na Bolesława, który zerwał się na równe nogi i stał mocno wzruszony. Cesarz tonem uroczystym przemówił: Rzekłem króla polskiego. Nie godzi się tak wielkiego męża księciem nazywać. To mówiąc zdjął z swej głowy koronę i włożył ją na głowę Chrobrego. Na ten widok wszystkie piersi zabrzmiały potężnym okrzykiem. Jedni krzyczeli „niech żyje król Bolesław“, inni „wiwat“, Niemcy „hoch“, jeszcze inni „żywio“ i „slawo“. Polscy wojewodowie chwycili na ręce Bolesława i obnieśli go po wszystkich izbach.

A Chrobry, zachęcając wszystkich do jedzenia, picia i zabawy, myślał: Jakie on ma prawo mnie koronować? to przecie tylko jeden papież uczynić może. Ja ta na swoich śmieciach taki cesarz, jak i on u siebie

Przyborowski.

Choroby dziecięce
i ich leczenie.

Kurcz głośni. Jako objaw towarzyszący krzywicy (rhachityzm) pojawia się często kurcz głośni. Następujące objawy tej przypadłości są charakterystycznemi: nagle zjawiający się brak tchu; dziecię usiłuje napróżno zachwycić powietrza, twarz staje się czerwoną i siną; wdychanie następuje dysząco, podobnie jak przy kokluszu.

Kurcz głośni zjawia się prawie wyłącznie u dzieci krzywiczych, skrofulicznych i takich, które w spadku po swych rodzicach odziedziczyły osłabienie, nerwową lękliwość, niespokojny sen. Przyczynami przygodnymi tej przypadłości są często ząbkowanie lub odłączenie od piersi. W razie ataku natychmiast wpuścić świeżego powietrza do izby, dziecię podjąć do postawy pionowej, twarz i pierś pokropić zimną wodą, przez podrażnienie nosa piórkiem spowodować kichanie, kark nacierać grubą wilgotną płótnianką, nogi masować. Jeżeli jest gorąca woda pod ręką, tedy natychmiast zastosować gorący okład na przednią część szyi.

Kurcze dziecięce (konwulsye). Oznaki: Najpierw zwykle stęk i jęczenie we śnie oraz niespokojne rzucanie się. W razie ataku utrata świadomości, zgrzytanie zębami; drganie członków i mięśni twarzowych (często pozorny uśmiech). Z ócz widać tylko twardówkę czyli bielmo. Często objawia się także zsinienie twarzy i piana na ustach.

Przyczyny: Kurcze nie są same przez się chorobą, lecz tylko objawem, towarzyszącym innym chorobom. Zjawiają się one u bardzo czuciowych (sensytywnych), skrofulicznych i krzywiczych dzieci, na skutek podrażnienia przez robaki, nacisku krwi na mózg z powodu gorączki albo zanadto ciepłego utrzymywania głowy, w następstwie zaburzeń trawiennych, gwałtownego przestrachu a nawet wskutek ząbkowania.

Zapobieganie. Nie lekceważyć zaburzeń trawiennych. Nie stawiać kołyski w pobliżu pieca. Nie trzymać głowy dziecka zanadto ciepło. Nie pozwolić, żeby słońce świeciło na obnażoną główkę dziecka. Nogi utrzymywać ciepło. Nie przestraszać dziecka; nie budzić je gwałtownie ze snu; nie drażnić, nie łaskotać dziecka.

Leczenie: Ponieważ przy wszystkich przypadłościach mózgu następuje zatwardzenie, należy w razie ataku zastosować natychmiast wlewkę (27 — 30^0 C.). Jest to najpierwsze i najważniejsze. Obok tego zabiegi od mózgu odprowadzające: ciepłą półkąpiel (około 37^0 C.); krzyże, brzuch, nogi i stopy silnie masować; trochę polewania zimną wodą i znowu masować; następnie obsuszyć i ułożyć do łóżka; ogrzewanie nóg bańkami; po rozgrzaniu nóg okład na ciało: następnie niechaj dziecię leży w spokoju.

Zapalenie ślinanki przyusznej. Przyczyna tej choroby zasadza się głównie na zaziębieniu okolic uszu wskutek silnego przeciągu,

dalej na skutek ustawicznie zimnych nóg i stóp. Pojawia się z jednej lub z drugiej strony, w bezpośredniem sąsiedztwie ucha, uczucie bolesne z nieznacznem początkowo, ale twardem nabrzmieniem, które z czasem staje się coraz większe i boleśniejsze tak, że osoby tą przypadłością nawiedzone z bólu spać nie mogą całemi nocami. Przeciwdziałanie zasadza się na następujących zabiegach: 1. Ustawicznie i co 10 minut zmieniające się chłodne okłady na odnośne nabrzmienie, ażeby zmniejszyć zapalenie. 2. Co dwie godziny zmieniające się 27⁰ C. owicia całkowite tułowiu i co cztery godziny zmieniające się owicia całkowite łydek. 3. Parowe kąpiele nóg lub parowa półkąpiel codziennie i, jeżeli zachodzi potrzeba, gorące bańki pod stopy, ażeby spowodować silne odprowadzenie. 4. Godzinę do dwóch godzin trwające płukanie gardła wodą cytrynową, ażeby zmniejszyć wewnętrzną gorączkę — a nareszcie codziennie wlewki (25⁰ C.) w celu regularnego wypróżnienia i wewnętrznego odprowadzenia. Zapalenie ślinianki przyusznej samo przez się nie jest tak niebezpieczne, jak się to często mniema, jeżeli się zawczasu czyni zabiegi wedle zasad przyrodnego leczenia. Dopiero jeżeli nastąpi ropienie gruczołów i zatrucie krwi (jeżeli się do tego dopuści), można mówić o poważnem niebezpieczeństwie.

Dławiec czyli krup, przy którym to nalot błoniczny występuje już w samej krtani. Gdy przy dyfteryi mamy do czynienia z bólem gardła i trudnościami podczas przełykania, zjawia się przy krupie niezmiernie utrudniony oddech, potęgujący się czasem do tego stopnia, iż zachodzi obawa uduszenia się. Chorzy nie giną, jak przy dyfteryi, na skutek powolnego zakażenia organizmu i osłabienia serca, lecz wskutek uduszenia się; tem się tłumaczy tak szybki przebieg.

Oznaki: Nagle, najczęściej wśród nocy, zjawia się utrudniony, świszczący oddech; kaszel podobny do szczekania; surowy, ochrypły, często bezdźwięczny głos. Wielka gorączka z dreszczami. Wskutek utrudnionego oddechu wielki niepokój i trwoga, zsiniałe oblicze, wystraszone oczy.

Zabiegi: Zawołać lekarza. Ponieważ grozi niebezpieczeństwo uduszenia, trzeba wszystko uczynić, ażeby usunąć błony nalotowe, zwężające krtań. Allopatja używa w tym celu środków wymiotowych. Takowe jednakże tylko zmniejszają odporność organizmu. Zastosować natychmiast letnią kąpiel (około 32⁰) z następującem silnem polewaniem tułowia wodą o 10 do 12⁰ C. chłodniejszą. To zmusza chorego do głębokiego oddychania, przytem błony zostają wyrzucone z kaszlem. W międzyczasie robić gorące okłady na szyję, przez całą godzinę, zmieniając je co 10 minut. Po godzinnej pauzie można powtórzyć ten sam zabieg. Nareszcie zastosować całkowite zawicie nóg i zmieniać zawicie to, gdyby dla chorego było uciążliwe.

Rozumne odżywianie dzieci. Śniadanie dzieci (zwłaszcza szkolnych) powinno się składać z niegotowanego mleka i chleba (razowego). W zimie powinno się mleko cośkolwiek zagrzać, ale nie powinno się go żadną miarą bardzo ogrzewać i zagotowywać. Mleko kozie jest lepsze od krowiego, albowiem koza jest wogóle zwierzęciem o wiele zdrowszem, niż krowa. Również nie należy mieć nic przeciwko temu, aby dawać do chleba trochę masła, chociaż ono po największej części jest zbyteczne. Natomiast powinno być ostro zakazane jeść dzieciom na śniadanie świeże bułki, ponieważ te są właśnie ciężkim tylko balastem dla żołądka, przytem są mało pożywne i nie zawierają soli odżywczych. Chleb razowy, a więc upieczony z całkowitej mąki, jest stanowczo najlepszy.

Dzieci, które potrzebują długo spać i rano dopiero na krótki czas przed rozpoczęciem nauki się budzą, albo muszą być budzone, nie mają często ani czasu, ani ochoty zjeść cośkolwiek przed wyjściem. Takich dzieci nie należy zmuszać do żadnego pożywienia, ale raczej dać im do napicia się szklankę świeżej wody. Skoro nadejdzie czas, to głód sam upomni się o swoje prawa. W każdym razie praca umysłowa nie będzie uciążliwą dla dzieci, mających czczy żołądek w godzinach porannych. Należy jednak zaopatrywać dzieci, zwłaszcza te, które rano nic nie jedzą — w dość obfite przekąski, aby podczas przestanku mogły pośniadać, a przekąski te powinny się składać tylko z owoców i suchego chleba, a w zimie w danym razie także jeszcze z kilku orzechów albo migdałów.

Każde pożywienie, które dzieciom dajemy, powinno być stałe, gęste i twarde t. j. żujne. Zupy należy możliwie wyłączyć, ponieważ stosunkowo za mało są pożywne*). Napoje

*) Zupy są wogóle stosowniejsze dla osób starszych nie mających już zębów; u dzieci zaś mają się dobrze wykształcić zęby przez należyte przeżuwanie i rozdrabnianie pokarmów stałych. (Przyp. Red.).

należy podawać tylko w połączeniu z pokarmami stałymi i nigdy w wielkiej ilości. Dzieci trzeba np. nakłaniać do używania ustawicznie chleba do mleka. Napoje, które działają tylko podniecająco a nie odżywczo, należy całkowicie wykluczyć, jak np. kawę, herbatę, a przedewszystkiem wino i piwo. Aby zapobiedz pragnieniu, należy możliwie nie dawać do pokarmów ostrych korzeni i nadmiaru soli.

Pokarmów mięsnych wogóle nie mogę polecać dla dzieci szkolnych, ponieważ one rozgrzewają krew i szkodzą sile nerwów, które umysłowo pracujące dzieci możliwie utrzymywać powinny. Najszkodliwsze zaś pod tym względem są te potrawy mięsne, które są przyrządzone z korzeniami, nasolone, a więc nieświeże. Mięsa wieprzowego, mięsa w puszkach (konserwów) i kiełbasy nie powinny dzieci nigdy dostawać. Tam jednak, gdzie przyzwyczajeni do mięsa rodzice nie chcą w zupełności dzieci pozbawiać tego pokarmu, należy polecić ograniczenie do miernych porcyj mięsa cielęcego (cielęciny), ryb i drobiu. Ale także tego rodzaju mięsa nie powinny otrzymywać dzieci, liczące poniżej 10 lat życia. Jak najsurowiej jednak należy przestrzegać tego, aby dzieciom tych potraw mięsnych nie podawać nigdy na wieczerzę.

Obiad dzieci powinien być wolny od tych wszystkich składowych części, które działają rozgrzewająco i są trudno strawne, ponieważ przy takiem pożywieniu praca dzieci w nauce popołudniowej i przy wypracowaniach domowych jest utrudnioną. Dlatego należy unikać podawania dzieciom sosów mięsnych, ciągnących się zup, tłustych pieczeni i w nadmiarze owoców strączkowych. Świeże, zielone jarzyny, sałata (przyrządzona z świeżo wyciśniętym sokiem cytrynowym i oliwą, albo z kwaśną śmietaną), kartofle duszone, proste potrawy mączne, miazga ryżowa, kasza, jęczmień, sago (zgotowane z mlekiem), w obfitej ilości kompot i świeże owoce — oto jest w najgłówniejszym zarysie spis potraw do obiadu dla dzieci. Jaja, zwłaszcza same, nie nadają się na pożywienie dla dzieci, ponieważ ich działanie jest podobne do działania mięsa. Przeciwnie zaś mogą być jaja dodawane do potraw mącznych. Działanie niektórych potraw mącznych, sprawiających możliwie zaparcia jelitowe, można usunąć przez podawanie obfitych ilości kompotu i surowych owoców, których nie powinno brakować przy każdym obiedzie dziecięcym. W zimie, w miejsce świeżych owoców, można podawać po największej części zgotowane lub rozmoczone owoce suszone i owoce południowe.

Wieczerzy nie należy nigdy odkładać do późnej godziny, ponieważ, po pierwsze, ile możności nie trzeba podawać t. zw. podwieczorku, a po drugie, trawienie ostatnich spożytych potraw powinno być w większej części skończone przed spaniem. Jeżeli będzie się zważać na te wskazówki i przepisy, to sen dzieci będzie spokojniejszy i twardszy; łatwiej i prędzej zasną, a rano zbudzą się wcześniej i będą bardziej wzmocnione. Wieczerza powinna się składać ze świeżego albo kwaśnego mleka, chleba z masłem, białego sera, czyli twarogu, kaszy, kompotu, owoców południowych, albo świeżych owoców, orzechów lub migdałów.

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Przypomnienia gospodarskie i ogrodnicze na miesiąc sierpień.

Okopywać i podlewać warzywa, głównie wszystkie kapusty. Gąsienice na kapuście obierać jeszcze staranniej niż w lipcu i niszczyć wszelkimi sposobami, nietylko żeby obronić kapustę tegoroczną, ale żeby nie zostawić gąsienic na rozmnożenie, na rok przyszły. U kapusty brukselskiej przyciąć czubek, a później ostatnie liście od dołu powyłamywać.

Chrzan okopać, przyczem każdy korzonek odsłonić z ziemi o ile się da głęboko i pobcinać wszystkie boczne korzonki, poczem obsypać napowrót ziemią — to samo zrobić z selerami, jeżeli chcemy, żeby były grube.

Szczypior u cebuli przygniatać i wybierać ją z ziemi w miarę zasychania, również trzeba już zacząć wybierać dymkę i suszyć w przewiewnem miejscu.

Wczesne kartofle wykopywać.

Zbierać już wczesne pomidory.

Fasolę piechotę w miarę dojrzewania wyrywać i suszyć. Z fasoli tyczkowej zbierać pojedyncze suche strąki, jeżeli w końcu miesiąca jest już dojrzała, powyrywać z korzeniami i pozostawić na tykach, żeby w ten sposób doschła, dopiero suchą zbierać z tyk.

Zbierać nasiona wysadków i grochy.

Siać na użytek jesienny: koper, rzepę,

roszponkę, rzodkiewkę, sałatę, szpinak, groch zielony.

Na użytek wiosenny siać trochę później szpinak i szczaw.

Cebulę siedmiolatkę sadzić; rośliny trwałe przesadzać i dzielić.

Na drzewach owocowych niszczyć owady szkodliwe.

Podpierać gałęzie z owocami, podkładając coś miękkiego na podpórkę, żeby gałęzi nie poobcierać.

Wycinać u drzew suche gałęzie i wszelkie niepotrzebne wyrostki zwane wilkami.

Podlewać drzewa gnojówką i spulchniać ziemię około nich.

Zbierać starannie opadki owocowe.

Nastaje już zbiór wielu owoców dojrzewających w tym miesiącu, jak: moreli, wielu gatunków śliwek, gruszek, niektórych jabłek i morw.

U malin i jeżyn stare pędy powycinać.

Suszyć owoce, zwłaszcza opadki, a kto chce, to i warzywa obrane i drobno poszatkowane.

Robić soki, galarety, konfitury, wina owocowe.

W szkółce: na drzewkach w koronach obcinać dolne niepotrzebne gałązki — opatrzyć przewodniki, w miarę potrzeby poprzywiązywać mocniej, lub za mocne przywiązanie rozluźnić. Drzewka zaoczkowane obejrzeć, gdzie się oczka nie przyjęły zaoczkować powtórnie. u przyjętych rozluźnić łyko. Po skończeniu oczkowania zmotykować szkółkę, żeby spulchnić ziemię udeptaną.

W klombikach i rabatach wyrzucić kwiaty przekwitłe, a zastąpić jesiennymi.

Cebulki hiacentów, tulipanów itp. które kwitły w doniczkach a teraz leżały zasuszone, wsadzić w ziemię tam, gdzie mają wykwitnąć na wiosnę.

Sadzić rośliny trwałe i przesadzać te, które już za długo rosną w jednem miejscu — jeżeli chcemy je zostawić nadal w tem samem miejscu, trzeba je wyjąć, odrzucić zużytą ziemię, a podsypać odpowiedniej świeżej.

Zbierać nasiona kwiatów.

Trawniki kosić, brzegi ich obcinać, uliczki gracować, ogród utrzymywać w porządku.

W końcu sierpnia można już zacząć przesadzać niektóre drzewa iglaste, jak: tuje, jodły, świerki.

Przesadzać z gruntu do doniczek: pelargonie, fuksye, lewkonie, laki, chryzantemy, fiołki itp. te, które chcemy przechować przez zimę. Wysadzając je z gruntu wcześnie i powoli przyzwyczajając do powietrza pokojowego, możemy utrzymać niektóre kwitnące przez całą zimę.

Rezedę zasiać w doniczce, żeby w zimie kwitła. Wszystkie rośliny doniczkowe, które dla wzmocnienia były wkopane w grunt, poprzesadzać w końcu miesiąca napowrót do doniczek, ale jeszcze jakiś czas trzymać je na wolnem powietrzu.

U kwiatów stojących w doniczkach na dworze ziemię oczyścić, wzruszyć, a gdzie jej brakuje dopełnić dobrą, odpowiednią ziemią

Kwiaty doniczkowe, które przekwitły, poprzesadzać, o ile tego potrzebują, (gdyż za częste przesadzanie szkodzi kwiatom).

Rozejrzeć się w ogrodzie czy nie potrzeba jakiego drzewa lub krzewu ozdobnego dosadzić lub przesadzić i zaznaczyć to sobie teraz, kiedy rośliny są w pełnym rozwoju, a więc daleko łatwiej się zoryentować, aby uskutecznić przesadzenie w jesieni w odpowiedniej chwili.

Przygotowywać i przerabiać komposty, zlewając je gnojówką i przesypując popiołem, wapnem, torfem itp.

Zbierać pestki owoców i wszelkie nasiona drzew dzikich.

Ogórki kwasić na zimę, gdyż we wrześniu będą już mniej ładne.

Piwnice do warzyw, które się wietrzyły całe lato, wykadzić siarką w końcu miesiąca i jeszcze po siarce przewietrzyć.

Drób i trzodę wyganiać na ścierniska.

Wszelkie poprawki i lepienia około domu i zabudowań gospodarskich robić jeszcze teraz, póki dzień dłuższy i pogodniejsze dnie.

Klepiska w stodołach poprawić i wylepić.

K. P.



WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Z gminy, parafii i wsi Wróblewa pod Sieradzem w ziemi Kaliskiej. Jesienią roku tysiąc dziewięćset piątego (w którym dniu, lub miesiącu? — nie pamiętam tego), za namową proboszcza, ks. Zawadzkiego, i właściciela dóbr tych, pana Radońskiego, którzy nam w wielu rzeczach służą za przewodników, założyliśmy sobie tu spółkę rolników. Przed założeniem jej, zjechaliśmy we trzech do Liskowa, i zwiedziliśmy spółkę taką, istniejącą tam od roku tysiąc dziewięćset trzeciego, założoną staraniem szanownego księdza Blizińskiego i po dziś dzień wzorowo przezeń prowadzoną.

W Liskowie przyjęto nas z wielką życzliwością, szczerem sercem i całą duszą, z gościnnością. Pokazano nam narzędzia ulepszone nowe: młocarnię i drapacze, siewniki rzędowe. Oglądaliśmy i sklep spożywczy spółkowy, w którym, przyznać musimy, porządek wzorowy. I tak nam się to wszystko wielce spodobało, że nam się takąż spółkę założyć zachciało. Powróciwszy z Liskowa, nie tracąc i chwili, odbyliśmy zaraz naradę w tym celu, na którą bardzo chętnie niektórzy przybyli. Ale byli i tacy, którzy dowodzili: — A! co nam tam po spółce... Tak dawno żyjemy i bez jakichś tam spółek gospodarujemy. — A słowa tych niemądrych tak poskutkowały, że się nasze zamiary chwiać już zaczynały. Lecz pomogła nam dzielnie wymowa proboszcza naszego i zabiegi pana Radońskiego; obaj wszelkich sposobów ku temu użyli, by do skutku ten zamiar nasz doprowadzili.

A nawet pan Radoński w tej właśnie potrzebie zaprosił kiedyś wszystkich w niedzielę do siebie i gościnnie nas przyjął z chęci, serca, duszy, że mieliśmy wszystkiego, jak mówią, po uszy. I tak się tam u niego jakoś zjednaliśmy, że jednomyślnie spółkę tę założyliśmy.

Dziś członków nasza spółka ma już czterdziestu pięciu z wkładkami, co najniżej, od rubli dziesięciu. Ale są też i tacy, co nie żałowali, — po dwadzieścia, trzydzieści i pięćdziesiąt dali. Niemal siedmset rubli składki złożyliśmy i wnet za te pieniądze kupiliśmy gospodarskie narzędzia, mianowicie: wialnię, następnie z parokonnem ruchadłem młocarnię, z wiosną zaś kupiliśmy brony sprężynowe cało-stalowe, i dwa siewniki rzędowe. Mamy chęć kupić jeszcze walec pierścieniowy, by nim ugniatać pola pod zasiew zimowy. Ażeby mieć skład jakiś na narzędzia owe, kupiliśmy plac we wsi, dobry pod budowę i tam też zaraz szopę wybudowaliśmy (choć co prawda, dotąd jej nie dokończyliśmy). Szopa ta zbudowana z półtrzecia-calowych balików topolowych, nowych, bardzo zdrowych. Dach jest pokryty „papą", dość ładnie wygląda, lecz, jak wyżej wspomniałem, dokończenia żąda.

Kiedy tę naszą spółkę założyliśmy, za dziesięć rubli różnych książek kupiliśmy. Ale członkowie mało książek pożyczają, tłómacząc się tem zwykle, że czasu nie mają. Ja jednak w to nie wierzę; — kto czytać ma chęci, to chociażby wieczorem chwileczkę poświęci, ażeby coś przeczytać, czegoś się dowiedzieć. A wreszcie, — toć przyjemność przy książce posiedzeć.

Co miesiąc w jednem miejscu wszyscy się schodzimy i tam o różnych swoich potrzebach radzimy. Z wiosną, jesienią, kiedy czas siewu nadchodzi, każdy z członków, — szczególniej gospodarze młodzi, — przynosi małą próbkę, by zboże zbadali doświadczeńsi i wyrok swój o tem wydali, czy można siać tem ziarnem, albo też odwrotnie? Na taki sąd już każdy przystaje ochotnie i takie tylko zboże zwykle bywa siane, które przez spółkę było za dobre uznane. Ci zaś, którzy do siewu złe nasienie mają, od innych członków spółki dobre nabywają.

Sprowadzamy gazetę rolniczą z Poznania „Poradnik", lecz nie mamy do niej przywiązania dlatego, że tam mowa o „metrach", „hektarach", „kilometrach" i innych nieznanych nam miarach. Drugie pismo z Warszawy, „Gospodarzem" zwane, chętniej tu już przez członków spółki jest czytane.

Mamy zamiar budować domek murowany i w nim założyć sklepik „spożywczym" nazwany. Pan Radoński odradzał, że sklep — to nie dla nas, bo z tem ogromny kłopot, mozoł i ambaras. Ale my uważamy, że tak źle nie będzie, bo przecież takie sklepy zakładają wszędzie, i nie słychać, by na tem tak źle wychodzili; toć i my się z tem jakoś będziemy biedzili. Nie widzi nam się trudnem sklepu prowadzenie, lecz daleko trudniejszem jego założenie, bo, jak wyżej wspomniałem, trzeba dom budować, który aż z ty-

siąc rubli nas może kosztować. Następnie, by mieć w sklepie towarów dostatek, toż na to trzeba ponieść ogromny wydatek! Gdyby wszyscy członkowie tak zamożni byli, by chociaż pół setki na ten cel złożyli, ale cóż? — wspomnieć o tem, — każdy się wystraszy, bo dzisiaj, jak to wiecie, ciężkie mamy czasy.

Tyle o naszej spółce. Pisałbym co więcej, ale... mnie to pisanie... i nudzi... i męczy. Więc choć u nas i „Kółko włościańskie“ powstało, o którem by napisać też coś należało, nie będę pisał o niem (niech inny kto pisze)! raz dlatego, żem zemdlał i ledwo już dyszę; po wtóre, iż nie umiem do gazet pisywać; po trzecie, nie mam czasu tak z piórem siadywać. I ten list wierszowany nie z chęci pisałem, lecz niejako do tego zmuszony zostałem. A kto chce wiedzieć, co mnie zmusiło do tego, niechaj list mój przeczyta do końca samego.

Kiedy w mieście Sieradzu było zgromadzenie, miało ono na celu kółka założenie. (Nie myślę ja tu wcale dowodzić, tłómaczyć, jakie to jest to kółko, co ono ma znaczyć; spodziewam się, iż wszyscy dobrze o tem wiecie, gdyż takie kółka teraz są w każdym powiecie. Wspomnę tylko, iż kółko tutaj wzmiankowane Towarzystwem rolniczem powiatowem zwane). Otóż na tem zebraniu i ja również byłem i tak, jak wielu innych też się tam gapiłem; lecz niektórzy z obecnych, na mnie się uwzięli, i siedzieć próżno w ławce mi nie pozwolili. Kazali mi ogłosić naszej spółki dzieje; że dokładnie opowiem, mieli tę nadzieję. Lecz ja ich w tem mniemaniu bardzo omyliłem, bo tak się mimowolnie jakoś zawstydziłem, że kiedym zaczął mówić, powstawszy na nogi, na głowie, zamiast włosów, wyrosły mi... rogi, i zaledwie słów parę z ust mi się wywarło, a reszta gdzieś jakoby w gardle mi zamarło.

Więc dlatego te wiersze dziś tutaj skleciłem, aby tego dokonać, w czem tam uchybiłem. A nawet, prawdę mówiąc, i to mam na względzie, że gdy to wydrukują, dużo lepiej będzie: co zamiast w jednym tylko sieradzkim powiecie, będą o nas wiedzieli niemal w całym świecie.

Więc chociaż po partacku, — list ten napisałem. Co prawda, dużo lepiej pisać zamierzałem; ale cóż rozum tępy, w głowie się majaczy!... Więc przepraszam! Nie mogłem inaczej.

Członek spółki.

Ze wsi Galewa w pow. kolskim, gubernii kaliskiej. W niedzielę 16-go czerwca odbyła się w boru galewskim wielka „majówka“, którą właściwie należałoby już nazwać „czerwcówką“. Była to zabawa składkowa; byli ludzie z Turku, z Szadowa, ze Zdrójek, z Dzierzążny, Galewa, Brudzewa, Janiszewa i z innych wsi. Każdy chętnie szedł na tę zabawę, bo to była nowość; dawniej przecie tego w okolicy naszej nie bywało. Za prawo wstępu płaciło się 50 kopiejek; nadto jeżeli kto chciał, to dostawał kilka znaczków, a za każdy znaczek otrzymywał na żądanie kufelek piwa. Była muzyka z Turku, wygodne ławki do siedzenia, plac do tańca i huśtawka, na której się mieściło czworo ludzi. Byli też przekupnie z kiełbasami; komu się jeść zachciało, to sobie kupił kiełbasy, popił piwem, i znowu stawał do tańca. Przybyli na ową majówkę także księża Grabowski i Kiełkiewicz z Turku. Ksiądz Grabowski kupił cukierków i rozdawał je dzieciom. Bawiono się bardzo ładnie, ochoczo, ale skromnie, może dlatego, że w obecności księży. Każdy, kto był zapisany, dostał na znak kokardkę; kto kokardki nie miał, ten patrzył tylko z daleka, ale nie brał udziału w zabawie. Było też przedstawienie, na którem pokazywano, jak to ludzie, bliźni, winni się wzajem miłować, bo miłość bliźniego i oświata, prowadzą do szczęścia. Znaleźli się i tacy, co sobie z tego wszystkiego śmiechy wyprawiali; ale trudna rada! — każda dobra rzecz jest przez ludzi złej woli wyśmiewana. *W. M.*

List z Bośnii. Wiadomo wam, kochani Czytelnicy i Czytelniczki, że już od kilku lat, dużo osób, a nawet i rodzin wyemigrowało z Galicyi do Bośnii. Ale nie każdemu wiadomo, jak się im naprawdę powodzi? Oto właśnie w tym celu postanowiłam kilka słów napisać: Rząd tutejszy rozdzielił tutaj kilkaset morgów lasów cesarskich, na tak zwane numera. Każdy taki numer mieści w sobie 20 morgów gruntu, a więc każdy z emigrantów dostał taki numer. Kto miał pieniądze na życie, a dostał las z drzewem grubem, przydatnem na budowę lub materyał opałowy, to mu jakoś szło... Ale biada temu, kto nie miał pieniędzy na życie i na wystawienie jakich bądź ścian i dachu nad głową. Ci ostatni do dziś dnia pracują, a nie mogą dorobić się niczego. Chodzą brudni, obdarci a nawet i głodni. Z głodu panuje pomiędzy nimi ciężka choroba, tak zwana gruźlica.

O doktorze, o aptece tu niema mowy, bo z tej kolonii, gdzie mieszkają moi rodzice, jest 6 mil do najbliższego miasta; z innych zaś kolonii jeszcze dalej. Marny list zanim dojdzie do rąk adresata, to czasem dwa miesiące trzeba na niego czekać. Księdza i nauczyciela polskiego tu niema. W niektórych koloniach powystawiali sobie koloniści skromne kapliczki, przy których urząd parafialny sprawują księża arwaccy. Dzieci chodzą do szkoły serbskiej, ale do tego czasu żadne nie umie ani po serbsku, ani po polsku.

Rzemiosło tu nie ma żadnej wartości. Każdy sam dla siebie jest krawcem, szewcem, kowalem, a nawet budowniczym. Ziemi za darmo teraz parcelować nie będą. tylko za opłatą 600 K. Za gotowe pieniądze można grunt kupić od Turka lub Serba. Ale ja wam tak radzę kochani Czytelnicy i Czytelniczki: „Trzymajcie się każdy swego kawałeczka tej naszej Polski, ukochanej ziemi! Nawet gdy nie posiadacie na własność ani zagonu, ani własnego dachu nad głową, to i tak siedźcie we własnej wiosce lub miasteczku, aby Was nie wyzyskiwali majętniejsi na obczyźnie“.

Reskryptem z dnia 26 kwietnia 1905. L. 27956 zezwoliło c. k. Ministerstwo Skarbu Towarzystwu Szkoły Ludowej w Krakowie na emisyę losów, których rozsyłka rozpocznie się w bieżącym miesiącu. Główna wygrana 10.000 K. Ciągnienie nieodwołalnie dnia 30 grudnia 1908 r.

Żywimy niepłonną nadzieję, że całe społeczeństwo polskie, uznając potrzebę oświaty, poprze nasze dążenia i przez zakupno losów przyczyni się do pomnożenia funduszów przeznaczonych na budowę szkół polskich, zakładanie czytelń ludowych, jednem słowem do postawienia na wyższym stopniu oświaty ludu naszego.

Dotychczasowa działalność T. S. L. nie była bezpłodna; 1.300 czytelń ludowych, 100 kursów analfabetów, kilkadziesiąt szkółek początkowych, oraz szkółek kresowych, oto owoc T. S. L.

Każdy kto czuje się Polakiem, komu rzeczywiście leży na sercu oświatowe, a przez to i ekonomiczne podniesienie ludu naszego, los T. S. L. nabędzie. Cena losu 1 K.

Biuro loteryjne znajduje się przy Zarządzie Głównym T. S. L. w Krakowie, ulica Floryańska L. 15.

ROZMAITOŚCI.

Agaton Giller, którego dwudziestoletnią rocznicę zgonu święciła w dniu 18 lipca młodzież stanisławowska, jest jedną z najpiękniejszych postaci w historyi naszego życia porozbiorowego. Urodzony w r. 1831, w Opatówku, w Kaliskiem, z ojca legionisty, po ukończeniu szkół oddał się całą duszą i z zapałem młodzieńczym pracy społecznej i narodowej. Prąd rewolucyjny r. 1848, przenikający całą Europę, zelektryzował oczywiście także zapalną i szlachetną duszę Gillera. Chcąc wziąć udział w rewolucyi węgierskiej przybywa do Galicyi, tu jednak aresztowany i jako niebezpieczny spiskowiec wydany Rosyi, skazany tam zostaje na Sybir w 1853 roku. Po pogromie moskiewskim w Krymie, udaje się Gillerowi umknąć do kraju, gdzie na nowo rzuca się w wir robót konspiracyjnych. W przeddzień wybuchu powstania r. 1863 zostaje powołany do rządu narodowego, gdzie zastępował zdanie, że do boju z regularnym żołnierzem rosyjskim musimy stanąć z armią wyćwiczoną i przygotowaną. Niestety powstanie wybuchło przedwcześnie. Po upadku powstania przeniósł się do Galicyi, skąd wydalony, powrócił do niej na kilka lat przed śmiercią i osiadł w Stanisławowie, gdzie zakończył swój pracowity i zasłużony dla ojczyzny żywot, dnia 18 lipca 1887. Na domu w którym mieszkał, wmurowano tablicę, na cmentarzu stanisławowskim wzniesiono wielkiemu patryocie piękny nagrobek, przy którym co roku, w rocznicę jego zgonu, gromadzi się młodzież i patryotyczna publiczność miasta Stanisławowa.

Zajście przy poświęceniu krzyża. Z powiatu hrubieszowskiego w Królestwie piszą nam: We wsi Gdeszynie młodzież tamtejsza postanowiła ze wspólnych ofiar postawić krzyż przy drodze, dla upamiętnienia ciężkiej chwili obecnej. Zamiar przeprowadzono i ustawiono krzyż z napisem: „Wszystkie nasze prześladowania ofiarujemy Tobie Panie!“ Dnia 26 czerwca przybyć miał nasz proboszcz, aby dopełnić poświęcenia krzyża. Gdy na uroczystość zgromadziły się tłumy ludności nadjechała bryczka, z której wyskoczył nieproszony przez nikogo i niepożądany dobrodziej z długiemi włosami i brodą (pop), poświęcił krzyż, wsiadł do bryczki, i co koń wyskoczy, uciekł. Powstało wielkie zamięszanie i oburzenie. Kobiety zaczęły płakać, mężczyźni

jednak nie tracąc przytomności, wykopali w tej chwili krzyż, sheblowali go i na nowo pomalowali. Robota ta trwała 5 godzin. Wieczorem przyjechał proboszcz i poświęcił krzyż, przy którym odmówiono modlitwy. Zajście to będzie dla nas pamiętne.

O polski napis na krzyżu grobowym. Panu Woźniakowi, górnikowi w Holsterhausen w Westfalii, umarło dziecko, które na tamtejszym cmentarzu pochowane zostało. Pan Woźniak wystawił dziecku krzyż na mogile, ze stosownym na nim napisem polskim. Nie podobało się to policyi w Eickel, więc wysłała p. Woźniakowi nakaz, aby ten napis usunął. Pan Woźniak nie zastosował się jednak do rozporządzenia, dlatego wyręczyła go w tej czynności policya, wyjmując z mogiły dziecka krzyż z polskim napisem. Ojciec odwołał się w tej sprawie do wydziału powiatowego w Geisenkirchen i uzyskał wyrok przychylny, znoszący rozporządzenie policyi, mocą którego krzyż z mogiły dziecka usunięto. Ale sprawa jeszcze nie jest skończona, gdyż policya ze swej strony wniosła rekurs przeciwko orzeczeniu powyższemu.

Ulewa nawiedziła Lwów, która zrządziła tak samo znaczne szkody, jak burza, która przeszła nad Lwowem przed miesiącem. Przedewszystkiem ucierpiały gościńce, przez które płynęła woda formalnemi rzekami, niosąc z sobą piasek, kamienie i rumowisko. W wielu miejscach tak zamuliła tory tramwajowe, że musiano wstrzymać ruch wozów kolei elektrycznej. Woda zbierała się w wielkiej ilości w miejscach najniżej położonych. Wskutek tego najgorzej przedstawiała się sprawa u zbiegu ulic Wuleckiej, Kadeckiej, Pełczyńskiej i Kopernika. Przez całą szerokość ulicy Wuleckiej płynęła rzeka, zasilana falami ze stawu Sobka, a równocześnie z górnej części ulicy Kadeckiej pędziły z hukiem spienione fale i utworzyły staw pod remizą tramwajową. Suterony kilku domów w górnej części ulicy Kopernika, zamieszkane przez wiele ubogich rodzin, wypełniły się wodą na metr przeszło wysokości. Dzieci ratowano przez okna. Woda buchała w tych domach przez odpływowe muszle wodociągowe, przez otwory klozetowe i otwory ściekowe w praczkarniach, znajdujących się w suterenach. Zalane też zostały mieszkania suterenowe w ulicach Pełczyńskiej Zyblikiewicza, Łyczakowskiej, Krakowskiej, Szopena, Brajerowskiej, Krasickich, Kazimierzowskiej i dolnej Mickiewicza. Na ulicach Tadeusza Romanowicza i Zyblikiewicza woda stała na 1 metr wysoko.

Gdy tylko wybuchła ulewa, poczęto na wszystkie strony telefonicznie wzywać pomocy zakładu wodociągowego Natychmiast więc całe pogotowie wyruszyło do ciężkiej pracy, a w pomoc przyszło im 12 strażaków ogniowych, wolnych od służby. Wodę pompowano do późnej nocy.

Burze w Królestwie. Pisma warszawskie donoszą: We czwartek popołudniu przeciągnęła nad Warszawą silna burza z ulewą i piorunami, które padały gęsto i blizko miasta. Podczas burzy w okolicach miasta wydarzyły się dwa wypadki porażenia od pioruna. I tak: W Rudzie Majorackiej piorun uderzył w warsztat kowalski, zabił jednego człowieka, a drugiego silnie kontuzyował. Kontuzyowanego uratowano przez zakopanie go zaraz w ziemię. W Żabieńcu, przy stacyi kolei grójeckiej, piorun uderzył w domek zajmowany przez letników, przedziurawił dach, zrzucił nieszkodliwie z krzesła jednę z pań, siedzących przy stole, przyczem obok znajdująca się niańka z dzieckiem nie poniosła żadnego szwanku, poczem wyleciał, zabiwszy w sieni kurę.

Jak donoszą z Łowicza, burza szalała tam z taką siłą, że wichura popchnęła cztery wagony towarowe, stojące na przystanku Domaniewice kolei kaliskiej, co stało się przyczyną katastrofy. Mianowicie wagony pędzone wiatrem, wydostały się na linię główną i podjechały pod Łowiczem pod pociąg towarowy, idący do Łodzi. Przy zderzeniu z nim cztery te wagony uległy rozbiciu, parowóz zaś pociągu silnemu uszkodzeniu. Jadący w pociągu towarowym robotnik uległ dość ciężkiemu poranieniu. Katastrofa ta spowodowała kilkugodzinną przerwę w komunikacyi.

Morderstwo w Koninie. Berliński „Lokal-Anzeiger“ donosi: w Koninie, guberni kaliskiej, niedaleko granicy prusko-rosyjskiej, handlarz żydowski, Leszczyński, wybudował młyn parowy, który zagroził zgubną konkurencyą 7 miejscowym wiatrakom Właściciele wiatraków namówili 19 letniego Szumanowicza, syna rolnika, ażeby zamordował Leszczyńskiego, za co otrzyma nagrodę w sumie 150 rubli. Szumanowicz zawarł układ i zastrzelił Leszczyńskiego w chwili, gdy przechadzał się z żoną. Właściciele wiatraków zapłacili Szumanowiczowi 7 rubli, zamiast przyrzeczonych 150 rubli. Morderca upominał się

kilka razy o wypłatę nagrody, aż wreszcie widząc, że to nie odnosi skutku, sam się oddał w ręce władzy i wymienił nazwiska młynarzy, których uwięziono.

Karciarze mordercami. Z Dęblina (Iwangrodu) piszą. Kilka dni temu podczas dłuższego postoju pociągu towarowego z rogacizną, ptactwem i trzodą chlewną, którym to pociągiem zwykle jadą sami kupcy lub przewodnicy, zebrało się w jednym z wagonów kilku takich pasażerów i dla zabicia czasu, rozpoczęli grę w karty. Najhazardowniejszą grą odznaczali się: kupiec Mikołaj Reprincew i Stefan Pilczuk, gdy tymczasem szczęście w grze towarzyszyło przeważnie Szai Reissowi. Na kilka minut przed odejściem pociągu wszyscy gracze rozeszli się, pozostali tylko w wagonie, nie przerywając gry, Reprincew, Pilczuk i Reiss. Co zaszło następnie pomiędzy graczami, dotychczas pokryte jest tajemnicą, dość, że na stacyi Garbatka, jeden z trójki graczów, Pilczuk, przesiadł się do swego wagonu. Reprincew zaś, nie zauważono, kiedy znalazł się również w innym wagonie. Po przybyciu pociągu na stacyę Jedlnia, żandarm miejscowy znalazł w wagonie, w którym odbywała się libacya i gra hazardowa, trupa porzuconego między świnie, w którym poznano trzeciego gracza, Reissa. Wagon ze znajdującym się w nim trupem oraz nierogacizną odczepiono i pozostawiono na stacyi Jedlnia do nadejścia władz sądowych. Przy Reissie znalezione 300 rubli, oraz wszystkie dowody na transportowane przez niego ptactwo do Łodzi, z czego można wnioskować, że Reiss został prawdopodobnie zabity nie w celu rabunku. Na podstawie telegramu żandarma zostali aresztowani, jako podejrzani o zabójstwo Reissa, partnerzy gry w karty: Reprincew w Skarżysku i Pilczuk w Sosnowcu.

Wieś bez mężczyzn. Z Budapesztu telegrafują: W miejscowości Kerezowa wszyscy mężczyźni wyjechali do Ameryki. We wsi pozostały tylko kobiety, które wybrały własną radę gminną, a jednę 24-letnią kobietę — wójtem.

Ważność kliniczna czarnych jagód. Pod tym tytułem wyszła niedawno praca Müllera, z której czerpiemy poniższe interesujące szczegóły: Czernice czyli czarne jagody od najdawniejszych czasów znajdowały zastosowanie w lecznictwie, tegoczesna atoli medycyna naukowa niewielki z nich dotychczas zrobiła użytek. Dopiero Winternitz, słynny lekarz wiedeński, zainteresował się bliżej tą jagodą i poddał ją badaniom, których wyniki okazały się bardzo zadawalającymi. Według jego wskazówek przyrządzano dekokt w sposób następujący: Jagody skrapiano najpierw wodą zimną, poczem poddawano je dwugodzinnemu wrzeniu, dopóki sok z nich wygotowany nie nabrał konsystencyi lekkiego syropu. Następnie cedzono je przez płótno, pozostałość zaś wyciskano. Płyn ostudzony może być użyty bezpośrednio. Winternitz dawał preparat ten w wypadkach chorobliwego rozwolnienia, trzy razy dziennie po filiżance i osiągał rezultaty pomyślne tam nawet, gdzie wszelkie inne środki przeciwbiegunkowe pozostawały bez skutku, np. u tuberkulików. Przypisuje on to wybitne działanie nie tyle ciałom chemicznym, zawartym w tym owocu, ile barwikowi. Strauss w wielkiej „Encyclopedie der Therapie“, redagowanej przez Liebreicha, daje czernicy poczesne miejsce przy leczeniu cierpień kiszkowych pod postacią wlewek (lewatyw). Dotychczasowe zatem doświadczenia wydały wyniki znakomite. Wobec wielkiej obfitości tych jagód, byłoby nader ciekawe i pożądane poznać wszystkie szczegóły ich budowy i składu chemicznego, oraz przedsięwziąć z niemi badania kliniczne w sposób systematyczny. (Patrz „Zielnik lekarski“ str. 75).

Przewietrzanie pierzyn na słońcu. Wystawianie pierzyn na słońce bywa często fałszywie wykonywane. Nie trzeba wystawiać ich, jak się to często zdarza, na najsilniejsze działanie promieni słońca, lecz wyszukać takie miejsce, na które słońce nie działa paląco; w przeciwnym razie pióra, jeżeli już całkiem nie ulegną spaleniu, to w znacznym stopniu skruszeją. Powinno się też piernaty dobrze przetrząsnąć i wytrzepać.

Używanie bielizny nocnej. Na noc należy koniecznie zmieniać bieliznę, a więc używać t. zw. koszul nocnych. Te powinno się kazać zrobić dłuższe od zwyczajnych, tak aby niemi dobrze można się było owinąć. Konieczną jest jednak rzeczą nie kłaść tych koszul na dzień do łóżka, ale kazać je przewietrzyć i wystawić możliwie na działanie słońca; podobnie też należy czynić z samemi pierzynami.

Rzekomy eliksyr życia. Całe mnóstwo ludzi, pozostawione w błędzie przez niedostateczną oświatę, sądzi jeszcze dzisiaj, że uda się wreszcie wynaleźć cudowny środek, którego użycie przysporzy człowiekowi długiego i zdrowego życia. Ludzie właśnie nie myślą o tem, że każdy człowiek z osobna może aż

do pewnego stopnia rozporządzać przedłużeniem swego życia. Feuchtersleben już przecież powiedział w swej Dyetetyce duszy: „Kto chce swoje życie przedłużyć, ten musi przedewszystkiem na to zwracać uwagę, aby go nie skracać“.

Działanie lecznicze niektórych roślin warzywnych. Dużo roślin z naszych ogrodów warzywnych służy w rozmaitych chorobach, jako znakomicie działające środki lecznicze. Szparagi n. p. znane są jako środek moczopędny i dlatego też używa sił ich przy utrudnionem moczeniu, chorobach pęcherza, w puchlinie wodnej. Tak samo łupiny zwyczajnego bobu działają moczopędnie. Już często wskutek użycia tego środka nie potrzeba wykonywać punkcyi (wypuszczenia cieczy). Dalsze wskazówki są podane w rozprawce: „Nasze pokarmy jako środki lecznicze“. Bez wątpienia jednak nie należy nigdy przedsiębrać kuracyi roślinnej osobno, tylko jako takiej, lecz starać się przy tem wzmocnić cały organizm przez postępowanie ogólne a mianowicie rozumnem zastosowaniem światła, powietrza, wody i ruchu.

Zakładanie pastwiska dla trzody chlewnej. Najnaturalniejszem, najzdrowszem i najtańszem utrzymaniem trzody chlewnej jest utrzymanie pastwiskowe. Na pastwisko wybiera się niedaleko oddalone pole i obsiewa się go gęsto koniczyną czerwoną lub szwedzką. Blizkie położenie pastwiska jest z tego powodu wskazane, ponieważ czem dalej trzodę się pędzi, tem z jednej strony więcej wzmaga się żądza zaspokojenia głodu, z drugiej zaś strony ubytek nawozu staje się większym. Pastwisko powinno być o ile możności wolne od chwastów, ponieważ świnie chętniej spasają koniczynę, aniżeli perz lub inne chwasty. Z tego też powodu powinno się wybierać na pastwisko tylko te części pola, na których koniczyna jest najbujniejsza i najgęstsza. Koniczyna musi być wysiana bez domieszki innych traw lub kminku. Świnie zjadają bowiem bardzo chętnie korzenie kminku, a ryjąc za nim uszkadzają koniczynę. Pastwisko na którem znajduje się wyłącznie trawa jest mniej polecenia godnem. Jeżeli się jest zmuszonym pastwisko takie używać, to bez dodania karmy w chlewach nie będzie się można obejść. Pastwisko takie musi być nadto bardzo dobrze znawożone, ponieważ świnie chętniej zjadają tłuste trawy. Pastwisko z lucerną, również nie nadaje się dla trzody chlewnej, ponieważ lucerna bardzo szybko twardnieje. Jeżeli świnie pozostają na pastwisku od 1 do 2 godzin, to woda nie jest potrzebną, natomiast konieczną jest woda i cień, jeżeli świnie pozostają na pastwisku przez południe.

Ciepłota w oborach. Doświadczenia przeprowadzone w Ameryce przez departament rolnictwa Stanów Zjednoczonych wykazały, że bydło opasowe woli średnio chłodną temperaturę, ponieważ ciepło wytwarzane wskutek trawienia, sprawia im w ciepłem otoczeniu niemiłe uczucie. Rolnicy amerykańscy przyszli przeto do przekonania, że opasy czują i tuczą się lepiej w oborach o średnio chłodnej temperaturze. Dowodem na to ma być większa chęć do jadła, ponieważ bydło w chłodnych oborach zjada znacznie więcej, aniżeli do utrzymania ciała jest mu potrzebne. Przyjmowanie większej ilości karmy powoduje szybki wzrost wagi, która w stosunku do zużytej paszy okazała się bardzo rentowną.

Dla osób gorączkujących. Doskonałym środkiem w czasie gorączki jest sok jabłkowy, który sporządza się w sposób następujący: 2—4 jabłka (stosownie do wielkości), czysto obrane i dostatecznie w płatki pokrajane, polewa się wrzącą wodą. Następnie ochładza się to wszystko i napój jest gotowy do użycia.

Przeciw nagniotkom. Nagniotki powstają przeważnie wskutek ucisku źle leżących i ciasnych bucików, a ustępują, skoro się zacznie nosić obuwie przypasowane do własnych nóg. Aby pozbyć się nagniotków, trzeba z wieczora wstawić nogi do gorącej wody, do której dodaje się trochę potażu. Następnie owija się palce wilgotną chustą i naciąga się na nogę wełnianą pończochę i tak leży się przez całą noc. Rano twardy naskórek rozmiękcza się, poczem można go łatwo usunąć tępym nożem. Wycinania nierozmiękczonych przedtem nagniotków należy zaniechać z powodu niebezpieczeństwa łatwego zakażenia krwi.

Przeciw zwilżaniu znaczków pocztowych językiem. Ślinienie językiem nagumowanych znaczków pocztowych i okrywek listowych (kowert) jest nieestetyczne i niezdrowe. Zwilżanie powinno uskuteczniać się zawsze albo za pomocą gąbki, albo poślinionego palca, lub czemś podobnem. Dużo chorób gardlanych i zakażenia krwi należy odnieść do tego zakorzenionego zwyczaju, wynikłego z wygody i nielogiczności.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera w Krakowie.

Dodatek do Nru 7 i 8 „Przodownicy“ z roku 1907.

W ZIMOWY WIECZÓR.

(Ciąg dalszy).

Nikt nie poruszał się i nic nie mówił. Nakoniec Mikuła wyprostował się i wymówił:

— Sprawiedliwie! tak szelmom wszystkim robić trzeba. Niechaj nie dokazują, cudzego nie ruszają, niewinnej krwi nie marnują, bo tego zabronił nam Pan Bóg *najwyszejszy*, a wszystkim niewinnym ludziom od niesprawiedliwości i krzywdy obrona i ubezpieczenie być powinno. Hodzi! — wymówił i po worek z tytoniem sięgał.

Wszyscy milczeli. Wiedzieli, że ilekroć stary wyraz ten wymówi, wszelkie spory i sprawy rodzinne i inne stanowczo rozstrzygnięte zostają. Aleksy bat oparł o ścianę, do żony zbliżył się i pochylony, jedną ręką po plecach ją głaskał, a palcem drugiej wodził po uśpionej twarzy i głowie niemowlęcia. Kołowrotek Hanulki zaturkotał; gospodyni garnek z gorącą wodą z komina wyjmowała...

Drzwi skrzypnęły, do izby wpadł naprzód, ujadając i warcząc, nasrożony, zjeżony, kudłaty kundel, a zaraz potem ozwało się przy progu wymówione pozdrowienie:

— Niech będzie pochwalony...

Głos, który je wymówił, gruby był, ochrypły i czuć w nim było przyśpieszony oddech.

— Na wieki wieków... — chórem odpowiedzieli przytomni. Mikuła z dłoni czyniąc sobie daszek nad oczami, ku drzwiom spoglądał; gospodyni oczy od ognia odwróciła; kołowrotek Hanulki umilkł znów.

— Panie gospodarzu i pani gospodyni — mówił u progu głos gruby i ochrypły — podróżny jestem i łaski waszej proszę. Pozwólcie godzinkę w ciepłej chacie posiedzieć; ogrzeję się i dalej pójdę... długo wam nie dokuczając..

— Prosim! wejdźcie sobie i posiedźcie — odpowiedział stary.

— Czemu nie? wejdźcie, bądźcie łaskawi, i ogrzejcie się—grzecznie zaprosiła gospodyni.

W szeroki pas światła, od ogniska padający, wszedł człowiek rosły, barczysty, lecz bardzo chudy, w ubraniu, składającem się z wysokich butów, wsuniętych w nie spodni z grubego sukna i dość cienkiego, na jednem ramieniu szeroko rozdartego surduta. Do podróżowania w wietrzną noc zimową ubiór ten nie był stosowny: to też od chłodu może twarz jego okrywała bladość. Do zmiętej bibuły podobne było jego czoło wysokie, powiększone jeszcze małem wyłysieniem, na którem pobłyskiwały rudawe włosy. Rudawy wąs ocieniał mu wązkie usta; podłużne oczy, źrenicą szafirową, szybkiem, wszystko, zda się, odrazu widzącem spojrzeniem, ogarnęły całe wnętrze izby.

— Siądźcie, bądźcie łaskawi, odpocznijcie — od komina nie odchodząc, przemówiła gospodyni. — Jasiek! — na syna zawołała — podaj panu stołek!

Nazywała go panem, bo surdut miał na sobie, a chociaż u progu przemówił tym językiem, jakim w tej chacie mówiono, znać było, że nie posługiwał się nim zwyczajnie.

Usiadł na stołku, gruby kij z żelaznem u końca okuciem pomiędzy kolanami umieścił i silnie zatarł długie, czerwone, z grubemi palcami ręce. Podniósł przytem twarz i uśmiechnął się tak, że wyglądał wpół bezmyślnie, wpół wesoło.

— Oj, zimno, zimno — zajęczał — i głodno! — dodał, ale żartobliwość z twarzy mu nie znikała. Możnaby myśleć, że skarży się żartem.

— *Wiater* dziś taki, że nie daj Boże — zauważył Aleksy.

— Chcecie jeść? — głowę z nad roboty podnosząc i ciekawie na przybyłego patrząc, zapytał bednarz.

Znów ręce zacierać zaczął.

— Zjadłbym, pewno że zjadłbym sobie, gdybym co miał, ale na drogę zapasu nie wziąłem.

Uśmiechnął się żartobliwie, ale ochrypły głos skrzypiał jak nienasmarowane koło wozu, a wzrok chciwie w głębi komina tonął.

— Dwa dni w drodze — zaczął znów —

gdzie! pamięć mi w głowie zamarzła, czy co? już dwie *niedziele* w drodze... Idę, taj idę, taj szukam, czego nie zgubiłem i nie wiadomo tylko, czy znajdę... cha, cha, cha!

Mówił głośno, jeszcze głośniej śmiał się, kij wysunął się mu z pomiędzy kolan i upadł na ziemię; schylił się i podniósł go z niezmierną gibkością i szybkością ruchów. Wszyscy milczeli. Nikt tu, prócz ojca rodziny, rozkazów żadnych nie wydawał. Mikuła obojętnie na przybyłego patrzył, a potem zwolna ku starszej synowej głowę zwrócił.

— Krystyna! *majesz szto iści?* jeżeli masz, to gościa *potrachtuj*...

— *Tołkanica* z makiem *je* — odpowiedziała.

Stary otoczył się kłębem dymu.

— Z daleka? — zapytał.

Gość z wytężeniem na niego patrzył.

— Z Prus — odpowiedział.

— Pewno do jakiej *chfabryki*, bo najwięcej *Niemców* do *chfabryk* idzie...

— Pan *Niemiec?* — cienkim głosem i z nadzwyczajną ciekawością zapytało piętnastoletnie chłopię.

— Ja nie Niemiec, ale z Niemiec idę... do fabryki idę, gdzie płócienka robią, bo słyszę, zarobek dobry... a niedaleko stąd. słyszę, koszary budują... może tam najmę się, bo i mularstwo znam... byle zarobić, byle żyć...

— Oj, to prawda! biednemu człowiekowi byle zarobić, byle żyć! — z głębokiem zrozumieniem potwierdziło parę głosów.

Krystyna postawiła na stole misę, pełną kartoflanej kaszy, szarej, od przymieszanego do niej maku, zastygłej i tak stwardniałej, że ją nożem krajać było trzeba. Położyła też przy misie nóż i spory kawał czarnego chleba.

— Jedzcie, bądźcie łaskawi — zapraszała gościa.

Długie, chude, czerwone jego ręce pochwyciły naprzód chleb i do ust go podniosły, lecz niespokojne oczy zdawały się jeszcze czegoś szukać po stole.

— Nie gniewajcie się, panie gospodarzu... ale zmarzłem jak kość... żeby można dostać kieliszeczek wódeczki... wódeczki!...

— Czemu nie można? można! — spokojnie odrzekł gospodarz. — Krystyna, daj wódki!

Krystyna przyniosła butelkę i kieliszek z grubego, zielonawego szkła, który gospodarz w połowie napełnił i do ust go niosąc, ku gościowi głowę skłonił.

— Na zdrowie! — rzekł i wypił powoli, prawie po kropli.

Kiedy gość brał napełniony po brzegi kieliszek, grube palce jego drżały.

— Na szczęście! — odpowiedział i odrazu z chciwością sporą miarkę trunku w gardło sobie wlał.

Baba wstała z niecek, do stołu podeszła i na butelkę patrzeć zaczęła.

— *Piej!* — rzekł do niej stary.

Z kieliszkiem w ręku pokłoniła się wszystkim dokoła i wypiwszy, rękawem koszuli zapadłe usta otarła.

Gość wlepił w nią oczy tak, jakby rysy jej rozpoznawać usiłował. Ogromne kawały kaszy pożerał, okruchy jej z garści do gardła wsypywał, a w miarę tego, jak głód zaspakajał, coraz ciekawiej i uporczywiej przypatrywał się wszystkiemu i wszystkim. Chwilami zdawało się, że czegoś lub kogoś wzrokiem szukał. Spoglądał na tapczan, potem na szczyt pieca, potem znów na tapczan. Nagle zapytał:

— A żonka wasza, panie gospodarzu, żyje?

— Już dawno umarła... z dziesięć roków już będzie, jak umarła... — zagadała baba, wypitą wódką skrzepiona i ożywiona... — tego samego lata umarła, jak mnie ze dworu odprawili... wtenczas mnie Szymon do swojej chaty przytulił; niech jemu Pan Bóg *najwyszejszy* za to we wszystkiem dopomoże. Krystynie w gospodarstwie dopomagaj, powiedział...

— Umarła — przerwał gość, a znieruchomiałe jego oczy tkwiły znów w twarzy rozgadanej baby: — a wam, matko, Nastula na imię... we dworze gospodynią folwarczną byliście...

— A toż! — z uradowaniem wykrzyknęła baba.

— A skądże wy o tem wiedzieć możecie? — zagadnął Aleksy.

Ale przybyły pytania tego nie usłyszał, czy na nie odpowiedzieć nie chciał. Po ścianach teraz oczami wodził

— Dawnoście, panie gospodarzu, tę chatę zbudowali?

Powoli, obojętnie Mikuła odpowiedział, że chata jest stara, lecz tylko niedawno podniósł ją trochę. przegniłe zręby nowem drzewem zastąpił, większe okna wyciął.

— Ja też patrzę, że izba jakby niezupełnie ta, co była...

— Alboż byliście tu kiedy? — zapytał bednarz.

Nie odpowiedział znów. Jeść nie przesta-

jąc, rozglądał się dokoła. Na bednarza i na Aleksego długo popatrzył i nagle jakoś rzekł:

— Ot jak. Starej już niema! — A po chwili dodał: — I Jaśka już niema!

— Jakiego Jaśka? — fajkę od ust odejmując i bystro na gościa patrząc — zapytał stary.

— Ot, jakiego! — zaśmiał się gość — a toż waszego trzeciego syna, panie gospodarzu!

— Czy wy tutejsi, że tak wszystko wiecie? — zagadała Krystyna

— *Musi* byliście tu kiedy? — wlepiając w niego spłowiałe, ale ciekawe oczy — przemówiła baba.

— Widać ze wszystkiego, że wam tu być nie pierwszyzna — ozwał się Mikuła.

Tak oblężony pytaniami, przybyły zrazu twarz ku stołowi pochylił, a potem z głuchą jakąś złością mruknął:

— No, byłem, byłem... to i co, że byłem!

W mgnieniu oka jednak złość, czy niecierpliwość poskromił i obojętnie mówił:

— A byłem tu... za robotnika najmowałem się wtedy, kiedy nowy dwór budowali... przy budowaniu nowego dworu pracowałem...

— Dawno to już było, może ze dwadzieścia lat temu — zauważył Mikuła.

— Więcej niż dwadzieścia — poprawił gość.

— Nie żart, jak wtenczas dużo cudzych ludzi do tego budowania przychodziło — zauważył bednarz.

— A dużo. I ja przychodził.

Stary uważnie na gościa popatrzył.

— Cościś mnie mroczy się w oczach... albo zdaje się. że was znam... albo zdaje się, że nie znam.

— Jak Boga kocham — zagadała baba — *kab* ja z tego miejsca nie wstała, kiedy i mnie się tak samo... albo zdaje się że was znam... albo zdaje się, że was nie znam... *Musi* wy kiedy ze mną rozmawiali, jak przy budowaniu nowego dworu byli...

Przybyły uśmiechał się i z dziwną uporczywością patrzył na jej wyschłe, pomarszczone, jak wosk żółte ręce.

— Oj, rozmawialiście ze mną, matko — zaczął — rozmawialiście nie raz, nie dwa i nie dziesięć razy... oj, przynosiliście mnie w tych rękach swoich chleb, nasmarowany miodem albo masłem, któreście z pańskiej spiżarni pod sekretem brali... cha, cha, cha, cha! — Śmiał się głośno, z podniesioną twarzą, a oczy mu gorzały, jak dwa rozżarzone węgle.

— *Kab* mnie dziś w nocy *uduszyło*, kiedy pamiętam!... Nie pamiętam... czy ja z wami rozmawiała, czy nie rozmawiała, czy wam kiedy chleb dawała, czy nie dawała, *niczego* nie pamiętam... tylko mnie się zdaje, że albo was znam, albo was nie znam... *taki* znam! *taki* nie znam!...

Nieznajomy teraz zwrócił się do dziewczyny i spytał:

— A ty córka gospodarza?

Odwracając od niego twarz zarumienioną, szepnęła:

— Ale! córka.

— *Musi* najmłodsza? *Musi* tobie dwudziestu lat niema...

— A niema...

— A starsza siostra, Maryśka, żyje czy umarła?

— Żyje...

— Za mąż poszła?

— Poszła...

— Gdzież ona? w tutejszej wiosce?

— W Dubrowlanach... w mężowskiej chacie siedzi...

— Aha! w mężowskiej chacie... we własnej chacie... to dobrze... Ach, ach, ach...

Jak powiew wiatru, westchnienie gwałtowne i krótkie pierś mu podniosło. Zamilkł.

Wtem podniósł się donośny głos Aleksego. Bokiem do stołu przyparty, szeroko rozłożył się on na zydlu i ku gościowi zawołał:

— A o Bąku nie słyszeliście tam czego, po świecie chodząc, ha?

Wszyscy umilkli, odpowiedzi ciekawi, ale i gość przez dobre pół minuty milczał. Potem spokojnie odpowiedział.

— Czemu nie słyszałem? słyszałem. Cały świat o nim tylko teraz gada.

— A gadają, nie daj Boże nikomu, żeby tak o nim ludzie gadali — zawołał młody chłop. — A jak myślicie, złapią jego, czy nie złapią?

— Może złapią, może nie złapią... — flegmatycznie odpowiedział gość.

— Dobrze byłoby, żeby złapali, a to pisarz mówił, że jak, broń Boże, nie złapią, wszystkim bieda będzie... rozboje. mówi, będą, grabieże będą, to i to, mówi, będzie... Co to, szelma taki, jeżeli na wolności zostanie, czy mało jeszcze biedy ludziom narobi...

— *Czort* jego złapie, kiedy on taki mądry — wykrzyknął bednarz — dwa razy uciekał... to i teraz uciec potrafi...

— Już to mnie największa ciekawość, jak on mógł wtenczas, dziesięć lat temu, z turmy

*

uciec. Już nie raz i nie dwa razy w mieściem był i turmę widział... Mury takie, o Jezu! sołdaty ze *sztykami* wszędzie... ptakiem trzeba być, nie człowiekiem, żeby wylecieć stamtąd... A on wyleciał... *Kab jeho*... ot mądry! Ścianę zębami przegryzł, czy co?

— Ej nie — krótko wymówił gość.

— A jakże? Bo żeby i kratę żelazną rozpiłował, toby przez okno wyskoczyć nie mógł... przez takie wysokie okno... jakby na kamienie z trzeciego piętra buchnął, toby mu odrazu dusza z ciała uciekła...

Teraz, stojący przed kominem człowiek, z rękami wciąż na plecy założonemi, swobodnie kołysać się zaczął w obie strony, zlekka przestępując z nogi na nogę. Z góry patrzył na przemawiającego doń młodego chłopa.

— On nie wyskakiwał przez okno, ale wyleciał... — z drwiącym uśmiechem przemówił.

— Chyba na tych skrzydłach, które mu *czort* przypiął — obruszył się bednarz.

— Nie na skrzydłach on wyleciał...

— To może na wiedźmowej łopacie... — zażartował Aleksy.

Kobiety i niedorosły Jasiek zawtórzyli jego śmiechowi.

— Na parasolu — wyrzekł gość.

Wszyscy umilkli. On kołysał się przed kominem jeszcze swobodniej i po wszystkich obecnych z góry wzrokiem wodził.

— Głupstwo — mówił — dla niewiedzącego, to zdaje się cud, a dla wiedzącego głupstwo! Ot jak on zrobił, ten Bąk, który z turmy uciekał... Wziął parasol, wielki taki parasol, rozpiął go, w dół ot tak obrócił i razem z parasolem, ot tak, hyc przez okno... Żeby bez parasola, toby na łeb, na szyję zleciał i kark złamał... ale parasol spuszczał się w dół pomaleńku, pomaleńku, bo wiatr jemu prędko zlatywać nie pozwalał, aż spuścił się do samej ziemi... a Bąk tyle tylko, że jak długi wyciągnąwszy się na bruku, nosem o kamień uderzył... Z nosa krew pociekła i kości okrutnie zabolały, ale co tam! za pas nogi wziąwszy, hajda w świat! Trzy lata potem jego szukali. Parasol pod turmą zaraz znaleźli, a jego trzy lata darmo szukali... cha, cha, cha!

Przy tem opowiadaniu cała jego długa, koścista twarz zajaśniała doskonałą, dziecięcą prawie wesołością.

Obecni w zdumieniu podnieśli twarze i pootwierali usta. Wśród ogólnego milczenia głos gruby i surowy z za kłębów dymu wymówił:

— A wyż skąd wiecie, jak to było?

— *Hetoż prawda?* skąd wy wiecie? — zawtórzyło pytaniu parę głosów.

Jakby w natarczywości tych pytań niechętne dla siebie wyzwanie usłyszał, zuchwale głowę podjął i z pod brwi, które zbiegły się groźnie, rozpłomienionem okiem dokoła powiódł.

— A wiem! to i co, że wiem! rozumnego gadanie głupiemu dziw... Aaaa! gęby pootwierali... skąd wiem? Albo to ludzie języków nie mają i nie opowiadają... opowiadali, a ja słuchał... Pfuj!

Splunął i nagle zaniepokoił się znów, zmąconym wzrokiem dokoła rzucił, na kij swój spojrzał, ręce zatarł. Aleksy bardo w twarz mu patrzył.

— Cościś wy, panie — zaczął — bardzo już dużo o tym Bąku wiecie. Może wy kiedy jego i widzieli?

Lekceważąco ramionami wzruszył.

— A gdzie ja jego mógł widzieć? Nie widziałem. Z Prus idę.. więcej jak dwadzieścia lat w tych stronach nie byłem.

— To szkoda, bo żebyście go widzieli, tobyście nam powiedzieli, jak on wygląda... Łatwiej byłoby złapać... Oj, złapałbym ja go, złapał z wielką ochotą i wprzód, nimby policya dowiedziała się o nim, sambym mu kawał skóry z pleców zdarł...

Po chwili weszło kilku parobków.

Nastula drzwi zamknęła, bo zimno z sieni szło do izby. Chłopcy, z których jedni byli w kożuchach, inni w siwych siermięgach, a wszyscy w ciężkich, wysokich butach, przed gospodarzem się skłonili.

— Dobry wieczór! — chórem huknęli.

Nie odpowiedział. Czyżby zadrzemał? Wszyscy jednak wiedzieli, że stary Mikuła ospałym nie był, że długie gwarne wieczornice lubił i uprzejmie na pozdrowienie gości odpowiadał, a czasem nawet, choć rzadko, grubym śmiechem wtórzył swawolom młodzieży. Dziś milczał. Spał, czy dumał? gniewał się, czy wspominał? Chłopcy do komina odeszli i za dziewczętami stanąwszy, papierosy zapalali; Nastula znów na przewróconych nieckach usiadła; kołowrotki zaturkotały chórem, nad ich turkotem szumne, wesołe wzniosły się rozmowy. W izbie zrobiło się bardzo gorąco i duszno.

U ściany przeciwległej tej, pod którą siedział stary Mikuła, w cieniu, na zydlu, toczyła się rozmowa, turkotem kołowrotków i gwarem wesołych głosów głuszona. Przybyły siedział tam obok Aleksowej, która żadnego

udziału w napełniających izbę swawolach i żartach nie biorąc, karmiła, a potem na rękach kołysała swe paromiesięczne dziecko.

— Wesołe u was wieczornice — zaczął.

— A wesołe — odpowiedziała.

— Dawno wyszłaś za Aleksego?

— A już na przyszłego Piotra cztery lata będzie.

— A ileż teraz masz lat?

Uśmiechnęła się i wstydliwie głowę pochyliła.

— Czy ja wiem? *Musi* na Jerzego dwadzieścia skończę...

— Phi! — gwizdnął gość — stara z ciebie kobietka. No a dobrze ci tu żyć?

— Czemu nie dobrze? I bardzo dobrze, daj Boże, *kab tak do wieku było.*

— Aleksy dobry, a? nie bije?

Zarumieniła się.

— Jeszcze tego nie było — nieco gniewnie sarknęła.

— A lubi?

Teraz zachichotała z cicha i zamiast odpowiedzi, niemowlę głośno w czoło pocałowała.

— Chleb w chacie zawsze jest? — zapytał jeszcze.

— Chwała Bogu, jest. Jeszcze tego nie było, żeby chleba zabrakło. Czego niema, a chleb zawsze jest.

— Bednarz pewno dużo zarabia?

— A zarabia. I mój zarabia, i *baćko* zarabia... jak przy gospodarstwie roboty niema, z Jaśkiem ryby w rzece łapie i w miasteczku sprzedaje, wprzódy sam jeden na ryby chodził, a teraz ze dwa już roki, jak z Jaśkiem chodzi...

— Z Jaśkiem chodzi — powtórzył gość, w ziemię patrzeć zaczął i umilkł.

U komina, z turkotem kołowrotków i gwarem głosów, zmieszały się chrzęsty rozkąsywanych orzechów i łuszczonych ziarn słonecznikowych. Jeden z parobków, za Hanulką wciąż stojący, najmniejszy w swawoli udział przyjmował, wciąż coś dziewczynie do ucha szepcąc.

A przybyły słuchał tego ze szczególną pilnością i ciekawością. Dłonie na kolanach oparł i cały naprzód pochylony, uśmiechać się zaczął, naprzód słabo i niewyraźnie, potem coraz szerzej i jakby rozkoszniej. Nikt przecież w tej chwili uwagi na niego nie zwracał; wkrótce też i sam uśmiechać się przestał, na sąsiadkę znów spojrzał.

— Czemu ty tam nie idziesz bawić się ze wszystkimi? — zapytał.

Wraz z niemowlęciem kołysząc się to w tył, to naprzód, odpowiedziała:

— Nie chcę... niechaj sobie bawią się zdrowi!

— A mówiłaś, że dobrze ci żyć... to czegoś smutna? *Musi* Aleksy niedobry, a! pewno niedobry? *Musi* tak już w rodzie u nich, że wszyscy niedobrzy?

Z chciwą ciekawością w młodą kobietę oczy wlepił. Ona nie na niego, ale w przestrzeń patrząc i kołysać nie przestając, odpowiedziała:

— Ej, nie. I Aleksy dobry, i wszyscy dobrzy, tylko ja *nadto* Mikołajka mego odżałować nie mogę...

— Jakiego Mikołajka?

— A synka...

Tu cichym, ale śpiewnie zawodzącym głosem opowiadać zaczęła, że przed kilku miesiącami zmarł synek jej starszy, półtora roku mający. Takie to śliczne było dziecko. Chodził już, mówił, nie żart, jaki już był rozumny. Wszyscy po nim płakali, nawet dziadek, choć taki srogi, płakał, ale potem zapomnieli, nawet ojciec rodzony zapomniał. Ona tylko nijak zapomnieć nie może. Pochyliła się nad niemowlęciem i ciszej dokończyła:

— Wiadomo, dziecko, takie maleńkie, jak ta jagoda *skociło się* ze świata... jak ta kruszyna w ziemię wpadło...

Po okrągłym, różowym jej policzku płynęła duża łza i jak brylant błysnąwszy, na granatowy kaftan upadła.

W napełniającym izbę gwarze opowiadanie młodej matki wydawało się delikatną, nieśmiało brzęczącą struną. Na świeżą, a zasmuconą twarz jej przybyły patrzył szerzej niż zwykle otwartemi oczami i łzie jej przypatrywał się. Jak wicher gwałtowny i krótki, westchnienie pierś jego szeroką i zapadłą podnosiło:

— Ach, ach, ach!

W zamian, z twarzy młodej matki smutek nagle zniknął. Ożywiła się ona i oczami, ku bawiącej się u komina gromadce spoglądającemi ciekawie, wesoło błysnęła.

— Oj — wykrzyknęła — bajki gadać będzie!... Nastula bajki gadać będzie...

Szybkim ruchem zwróciła się ku gościowi.

— Posłuchajcie tylko... mojeż wy mileńkie, posłuchajcie! Ona śliczne bajki gada, nie żart jakie śliczne...

Baba, u samej ziemi, na przewróconych nieckach siedząca, z pomiędzy dwóch kołowrotków wychyliła głowę i mówić zaczynała. Wśród powszechnego milczenia, przy wtórze

kołowrotków głos jej stary, przewlekły, szepleniący, rozchodził się po izbie:

— Było to sobie trzech braci: dwóch rozumnych, a trzeci dureń. Powyrastali i żenić się im pora przyszła. *Baćko* ich pyta:

— Którego z was, synkowie, naprzód ożenić?

Starszy mówi:

— Mnie, bo ja najstarszy.

Drugi mówi:

— I mnie, tatku już pora.

A dureń także odzywa się:

— A i mnie już dawno byłaby pora.

— Nu — mówi *baćko*, idźcież wszyscy do lasu, a który najprędzej dużo jagód uzbiera, tego ja pierwszego ożenię.

Poszli oni wszyscy do lasu i tak zbierają, tak zbierają jagody, że ani wyprostują się. Aby tylko prędzej nazbierać, zbierają i zbierają. Rozumni do durnia podeszli i pytają:

— A co, durniu, czy dużo jagód zebrałeś?

— Ej — mówi dureń — już ja zaraz i do domu sobie pójdę.

Pozazdrościli rozumni durniowi, wzięli zabili go, nóż w serce wsadzili...

— Aj! — jęknęło parę kobiecych głosów.

— Nu, nu, tak zaraz wzieli i zabili — niedowierzająco i z powagą bajce przesadę zarzucił jeden z parobków. Baba, z wyrazem głębokiego przekonania, głową trzęsąc, powtórzyła:

— Wzięli i zabili, nóż w serce wsadzili, w ziemię zakopali, piaskiem przysypali, zamiast krzyżyka nad głową zasadzili wiśnię i poszli do domu.

Aż tu tą samą drogą jedzie pan; zobaczył wiśnię i myśli sobie:

Wyrąbię ja tę wiśnię i zrobię z niej dudkę.

Wyrąbał wisienkę, zrobił z niej dudkę, jedzie sobie i gra, a ta dudka śpiewa:

Nie graj panoczku, nie graj,
Serduszka mego nie targaj,
Mnie bracia zabili,
Nóż w serduszko wbili,
Czerepkiem oczy nakryli,
Piaseczkiem zasypali,
Wisienkię zamiast krzyża zasadzili...

Dziwuje się ten pan, dziwuje się, a dudka prosi i prosi, żeby on na niej nie grał.

— Aaa! — przerwało znów parę wykrzyków zdumienia.

— *Taki* śpiewała ta dudka, *taki* prosiła... nu!

Nastuli oczy, jak dwie srebrne iskry błyszczały, zwiędłe wargi jej coraz więcej wyrazu przerażenia nabierały. Z łokciami, opartemi o kolana i rozwartemi w powietrzu rękami, prawiła dalej:

— Przyjechał ten pan do tej wioski, gdzie durniowi bracia i ojciec żyli, zaskoczyła jego nocka. Przyszedł on do nich i prosi, żeby jemu przenocować pozwolili. Pozwolili jemu przenocować, odprzągł on konia, do chaty wszedł i do gospodarza mówi:

— Jechałem ja — mówi — przez taki i taki las, patrzę, aż stoi sobie wisienka, taka równa, *taj* wysoka. Ja tę wisienkę zrąbał i dudkę z niej zrobił. A żeby ty wiedział, jak ta dudka gra! Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby dudka tak grała. Weź stary i pograj troszkę.

Wziął chłop dudkę, grać na niej zaczął, a ona śpiewa:

Nie graj tatulu, nie graj,
Serduszka mego nie targaj,
Mnie bracia zabili,
Nóż w serce wsadzili,
Czerepkiem oczy nakryli,
Piaseczkiem przysypali,
Wisienkę zamiast krzyża zasadzili.

Zdziwił się stary i dał dudkę synom swoim, żeby oni na niej zagrali. Grają oni, a dudka śpiewa:

Nie grajcie braciszkowie, nie grajcie,
Serduszka mego nie targajcie,
Wyście to mnie zabili,
Czerepkiem oczy nakryli,
Piaseczkiem zasypali,
Wisienkę posadzili.

Wtenczas wszyscy domyślili się, że rozumni zabili durnia, na mogiłkę poszli, piasek odgarnęli i wszystko tak znaleźli, jak dudka opowiedziała.

Wtedy tych braci do kancelaryi zabrali i do turmy wsadzili.

Baba mówić przestała, a nikt nie odzywał się jeszcze, kołowrotki obracały się powoli, powoli, a z ich osłabłym turkotem mieszały się od czasu do czasu wydawane głośne westchnienia. Jeden Aleksy, zawsze wesoły i butny, drwiąco uśmiechał się i na ucho Damianowi szeptał:

— Ot zlękły się baby bajki! Nu, aż im jeszcze lepszego strachu napędzę!

Wysunął się do sieni, a po dwóch minutach, z trzaskiem drzwi otwierając, na całą izbę krzyknął:

— Ratujcie ludzie! kto w Boga wierzy, ratujcie! Bąk idzie! rozbójnik Bąk idzie! ot, ot, już przyszedł! z takim wielkim, ostrym nożem przyszedł! Hu, hu, hu, hu!

Dziewczęta wrzasnęły i pochowały się za kądziele; nawet Krystyna drgnęła i na dziewczynki u nóg jej siedzące trwożliwie spojrzała; Jasiek krzyknął przeraźliwie i schował się za szerokie plecy ojca. Mężczyźni, z których paru przelękło się też z razu, wkrótce poznali się na żarcie i śmiechem huknęli. Uspokoiło to i kobiety. Poważna Krystyna w gniew wpadła.

— *Nie duryś* Aleksy! — na mężowskiego brata krzyknęła – ochota ludzi straszyć! Wstydź się!

Ale popłoch nie zaraz ustał. Snać wszyscy obecni dnia tego o Bąku słyszeli; parobcy z jarmarku przywieźli o nim opowiadania straszne; nasłuchały się ich kobiety. Hanulka ręką serce przyciskała.

— Bije, oj, jak bije i uspokoić się nie może! — jęczała.

Wszystkie wyrzekały.

— Oj! *kab* ciebie Aleksy... żeby takiego strasznego człowieka śród nocy wspominać... jeszcze, nie daj Boże czego, i wywróżysz! jeszcze i naprawdę kiedy przyjdzie...

— A przyjdzie! Z takim wielkim, ostrym nożem przyjdzie! — zażartował jeszcze młody chłop.

— Aj! — krzyknęło znów parę głosów.

— *Hodzi!* — stanowczo wymówiła Krystyna i w silniejszy ruch kołowrotek swój puszczając, dodała — ot, zaśpiewajmy lepiej.

Głos miała piękny, rozległy, poważny, jak cała jej postać; wiedzieli wszyscy, że choć od szesnastu już lat mężatką była, śpiewać lubiła bardzo. Równą, długą nić powoli snując z kądzieli, rozgłośnie, poważnie zawiodła.

»Oj, woły moje, da połowyje,
Czemuż wy nie orecie,
Oj, leta moje, leta mołodzieńkie,
Czemu wy marnie idziecie...«

Ale właśnie w tej chwili stary Mikuła samotnie i w milczeniu u ściany siedzący, powieki podniósł. Podniósł powieki i z osłupiałą uporczywością wpatrzył się w przeciwległy punkt izby. Przed chwilą, gdy Aleksy, z hałasem drzwi otwierając huknął: Bąk idzie! rozbójnik Bąk idzie! gość zatrząsł się całem ciałem i zerwał się z miejsca. Porwał się z miejsca, kij swój, który pomiędzy kolanami trzymał, w ręku mocno ścisnął i ku drzwiom się rzucił. Ale prawie zaraz wybuchnął śmiech parobków, oznajmiający, że słowa Aleksego obecni za żart poczytali. Przybyły zatrzymał się i do odejścia wciąż się mając, chwilę jeszcze zmąconemi oczami po izbie wodził. Na ściany, na sufit, na komin blaskiem ognia buchający patrzył i patrzył, aż wzrokiem spotkał u ściany siedzącą, nieruchomą postać starca. Powoli w dół ku ku ziemi opuszczać się zaczął. Na glinianej podłodze przysiadł, widać było, że tylko na chwilę przysiadł, kij w obu spuszczonych rękach trzymając. Całe ciało jego ukryło się za beczułką, z za której tylko stalową iskrą pobłyskiwało okucie jego kija i nad którą wznosiła się jego głowa. Na tę głowę spojrzał Mikuła powieki wznosząc i nie odrywał już od nich osłupiałych oczu. Stary rękę do czoła podniósł i gwałtownie zaszeptał:

— W imię Ojca i Syna..

Potem ręka jego powoli w dół osuwać się zaczęła, palce, jakby władzy pozbawione, rozwierały się, sztywniały, aż fajka wysunęła się z nich i na ziemię upadła. On tego nie spostrzegł.

— Jezu Chryste! — zaszeptał znów i cały, naprzód pochylony, patrzył na tę twarz obcą a znaną...

— Jezu Chryste najmiłosierniejszy, zmiłuj się nad nami! — szeptał stary.

A głowa przybyłego, powoli trząść się za częła, powiekami ku staremu Mikule mrugając: „Nie żyć mnie z tobą tatku, nie żyć mnie w tej chacie, gdzie chleba nigdy nie brakuje i ludzie w zgodzie żyją, czasem na wesołe wieczornice schodząc się i weseląc. Przypadkiem ja tu zaszedł, sam nie wiedząc gdzie idę, byle dalej zajść i uciec od tego, co mnie z tyłu goni, oj, tak goni, że aż mnie skóra na plecach cierpnie, to piecze... Przypadkiem ja tu przyszedł i nie wytrzymał, taj do chaty zaszedł, ale mnie tu nie żyć... Zaraz wstanę, taj pójdę, bo grzechów dużo na świecie popełniłem, ażeby za nie żadnej pokuty nie było, nie *możno* tatku... ty sam powiedział i osądził, że nie *możno*..."

A stary trząść się zaczął. Zdawało się, że odpowiada, powtarza:

– Nie *możno*, synku, nijak nie *możno!*

Nagle wyprostował się Mikuła, ogromną żylastą rękę po oczach przesunął i gwałtownym szeptem zaklął:

— To i zgiń, przepadnij, kiedy taki... Pfuj, maro z tamtego świata! jaka nieczysta siła ciebie po świecie wodzi? Zgiń przepadnij! Szerokiemi plecami do izby się zwrócił, a do ściany twarzą tak ponurą i groźną, jak gromowa chmura.

— Zgiń i przepadaj, kiedy taki — po-

wtórzył. O chropowatą ścianę oparł wielkie, wyłysiałe, w sto fałd i zmarszczek zsunięte czoło. Nic już wiedzieć nie chciał.

Izbę napełniał teraz wesoły, swawolny śpiew.

Tym razem kobiety śpiewały same, parobcy nietylko nie wtórzyli im, jak wprzódy, ale nawet śpiewania ich nie słuchali. Czy ważniejsza od śpiewów sprawa do głowy im przyszła? Skupili się w ścisłą gromadę, szeptali o czemś pomiędzy sobą, czasem urywane słowa wykrzykiwali. Nagle pieśń urwała się w połowie strofy, a w ciszy, która zaległa izbę, rozległ się śmiały, butny głos Aleksego, zwróconego do przybyłego.

— A paszport, panie, masz? Pokaż, panie, paszport, niechaj my wiemy, kto ty taki!

Stary Mikuła znów twarzą zwrócił się ku izbie i z wielkiemi dłońmi, o kolana opartemi siedział, jak struna wyprostowany, na to, co działo się u drzwi izby, patrzący. U samych prawie drzwi izby sześciu mężczyzn otoczyło nieznajomego. Na czele gromadki Aleksy w rozpiętym kożuchu, z zapalonym papierosem w ustach i głową butnie podniesioną, do przybyłego przemawiał.

Inni mu wtórzyli.

— Paszport pokażcie... teraz bez paszportu nikomu nie można włóczyć się po świecie...

— Może ty Bóg wie kto — posępnie krzyknął bednarz — a my odpowiadać za to będziemy, że ciebie nie złapali...

Może ty ten Bąk, którego za niewinną krew ludzką ścigają! — zawołał mądry Damian. Nie darmo nazwano go mądrym Damianem: on pierwszy przed chwilą, spojrzawszy na siedzącego gościa, nową jakby zagadkę Aleksemu i bednarzowi szepnął:

— Może to Bąk!

W tej chwili zerwał się ów człowiek groźny, z okiem rozbłysłem wściekłością ściganego zwierzęcia, z rozdętemi nozdrzami, ze srogiem przekleństwem na ustach. Zerwał się, kij swój żelazem okuty podniósł i szeroko nim zamachnąwszy, ku drzwiom poskoczył. Ale w mgnieniu oka parobcy za ramiona go pochwycili.

— Rozległy się hałaśliwe krzyki:

— To ty taki! Zamiast paszportu, kij nam pokaznjesz! ho! ho! dobry ty *musi* ptaszek...

— Bąk, pewno Bąk... łapajcie, trzymajcie!

— Trzymajcie, ludzie, kiedy Boga kochacie, nie puszczajcie!

Przerażone dziewczęta, na podobieństwo owiec, zbiły się u komina w niemą od trwogi gromadkę: jedna na piec nawet ze strachu lazła, dwie małe dziewczynki do ziemi przypadły i twarze schowały w spódnicy matki, która przed ogniem stanęła, ramiona u piersi skrzyżowała i ciemnemi, zamyślonemi oczami na odgrywającą się u drzwi scenę patrzyła. Stara Nastula tylko nie widziała i nie słyszała nic; z głową o krawędź komina opartą spała, od czasu do czasu coś przez sen pomrukując i pośpiewując.

U drzwi walczono. Chwytanego nie łatwo było pochwycić. Silny, choć chudy, sprężysty, z członkami do walki snać wyćwiczonemi, wydzierał się on chwytającym go rękom, łokciami i nogami napastników uderzając. Wzmagało to ich zaciętość. Łajali i klęli. Nakoniec Aleksy pierwszy, potem bednarz, najzaciętsi lub najsilniejsi, pochwycili go tak silnie i zręcznie, że żadnego już poruszenia uczynić nie mógł.

— Postronków! — zawołali — hej baby! postronków dawajcie!

Ale Krystyna ramion nie rozplotła. Patrzyła, patrzyła, a zamyślone jej oczy zdawały się powtarzać:

— *Taki* i *tego* kiedyściś matka na rękach swoich nosiła i kołysała!

Od krawędzi komina dygocący głos uśpionej baby zanucił:

„Nie grajcie braciszkowie, nie grajcie,
Serduszka mego nie targajcie...“

A z pomiędzy gromady chłopów głos pokorny, błagalny, od trwogi dygocący przemawiał:

— Puśćcie mię ludzie, jeżeli Boga w sercach macie, jeżeli zbawienia duszy żądacie, puśćcie. Ja wam nic złego nie zrobię, pójdę na wieczne czasy, z oczu wam przepadnę, tylko puśćcie, oj puśćcie...

Parobcy zaśmiali się szyderczo, groźnie i dalej o postronki do bab wołali, ale starego Mikułę dygocący, błagalny głos, który pośród gromady parobków przemawiał, na kształt czarodziejskiej siły z ławy podniósł. Jak wysoki stanął, rękami zamachał, usta otworzył i nic nie powiedziawszy, z otwartemi usty, znów na ławę opadł. U krawędzi komina śpiąca baba zanuciła:

„Nie graj tatulu, nie graj,
Serduszka mego nie targaj.
Braciszkowie mnie zabili...“

Aleksy do sieni, zapewne po postronki, których kobiety nie podawały, skoczył. Chwy-

tany zaszamotał się znów i wychylił nieco z pomiędzy otaczających go postaci i ramion. Zmalały był, skurczony, plecy poruszały się i głowa wtulała w ramiona tak, jakby już skóra jego kurczyła się i drgała pod uderzaniami pletni. Struga bladości trupiej spadła mu na twarz, nieopisana męka wykrzywiła usta a oczy biegające rozrzucały dokoła błagalne spojrzenia. Wydawał się w tej chwili zbiornikiem najsroższych cierpień świata: arcynędzarzem.

— Przypadkiem do was zaszedłem — zdyszanym głosem mówił — przypadkiem, na godzinkę bez żadnej złej myśli.. byle odpocząć... i zaraz pójdę... pójdę... nic złego nie zrobię... tylko mię puśćcie, jeżeli kroplę litości... jeżeli zbawienia duszy... puśćcie... na rany Jezusa Pana... oj, ludzie!...

Krystyna teraz głośno wymówiła:

A *taki* i *tego* kiedyściś matka na rękach swoich nosiła i kołysała...

A tuż prawie przy ziemi, senna baba śpiewnie mruczała:

„Braciszkowie mnie zabili,
Nóż w serce wsadzili..."

– *Hodzi!* rozległ się po izbie głos wszystkie inne przenoszący, do rozkazywania nawykły.

— Pi, pi, taki młody a jużby ludziom skórę z pleców zdzierał — uśmiechnął się przybyły.

— A kiedyż on rozbójnik! - zrywając się z ławy krzyknął młody i sierdzisty chłop; — sam pisarz dziś mówił: kramy odbijał, mówi, pieniądze *chjałszował,* a już najgorsza rzecz, mówi, że troje ludzi ze spólnikami swymi zabił... czy to bestyi takiej żałować? Oj, oj, i jakbym ze skóry łupił!... niech drugich nie *ubija...*

— *Cicho! cichocie* Aleksy! *Nie krzyczy tak!* — ciągnąc za połę rozpiętego kożucha, uspakajała męża młoda żona. Bednarz ręką z heblem w powietrzu zamachnął.

— *Kab* jemu tak dobra na świecie nie było, jak on niewinnych ludzi pogubił...

— Oj — jęknęła Hanulka — jeszcze i teraz może rozbijać zacznie...

— Pewno, że zacznie...—zagadnęła baba— co to, rozbójnik taki, w krwi ludzkiej wykąpany...

— *Kab jemu kości pokruciło... Kab jego paralusz naruszył...*

— Czy zacznie, czy nie zacznie — ponuro odezwał się bednarz — a łapać jego trzeba, bo jeszcze *szajkę* sobie dobierze i konie będzie kraść...

— Niedoczekanie jego! — zawołał Aleksy — będzie on konie kradł, jak kat jemu dwieści pletni w plecy wsadzi...

— Aj, aj — piskliwie wrzasnęła Hanulka.

— A tobież co? — obruszył się Aleksy, ale zaraz spojrzał na żonę, która lamentowała także.

— Oj, oj, oj! a! a! oj, oj!

Stara Nastula wyschły policzek na dłoni oparła i głośno wzdychała:

— Bożeż mój, Boże, oj, Bożeż miłosierny...

Piętnastoletni Jasiek stał jak skamieniały, z oczami wytrzeszczonemi, aż obydwie ręce do ust przyłożył i trzęsącym się głosem zahuczał:

— Hu, hu, hu, hu!

— Ot przelękli się, że rozbójnik pletniami dostanie! — zaśmiał się Aleksy.

Przybyły nie stał już teraz w tak wyprostowanej, jak wprzódy, postawie. Kiedy Aleksy pierwszy raz wspomniał o pletniach, widać było jak pod cienkiem suknem podartego surduta łopatki jego poruszać się zaczęły i powoli podnosiły w górę; kark zaś, jakby pod nagłem uderzeniem w dół opadł i broda dotknęła piersi.

— Ciekawość, czy szelma wytrzyma? — mruknął bednarz.

— Ojej! i jak wytrzma! — twierdził Aleksy; — jeszcze potem w łańcuchach na koniec świata pójdzie, a jak przyjdzie tam, gdzie jemu być *przykażą,* to od rana do nocy młotem pod ziemią będzie walił, albo taczki ciągał...

— Oj, biednyż on, *taki* biedny! — westchnęła Jonka i trzymane w ramionach niemowlę mocniej do piersi przycisnęła.

— Oj, na co jemu było na ten świat przychodzić? Na co Pan Bóg *najwyszejszy* na ten świat jego przysłał? — wzdychała Nastula.

— Jaby, zdaje się, nie wytrzymała... wzięłabym, tajbym się utopiła... — prawiła Hanulka.

Krystyna z nad statków, które myła, wyprostowała się, ramiona znów u piersi skrzyżowała i wysoka, silna, kształtna, ciemnemi oczami w ogień patrzyła. Piękne jej usta kurczyły się trochę i zsunęły się ciemne brwi. Kiedy wszyscy umilkli, odezwała się głębokim głosem:

— *A taki i tego* kiedyścić matka na rękach swoich nosiła i kołysała...

Przybyły nagle do niej się zwrócił. Długo na nią patrzył, aż pochylił się prawie ku sa-

mej jej twarzy i grubym, świszczącym szeptem wymówił:

— Pilnujcie wy dobrze swego synka, oj, dobrze swego Jaśka pilnujcie, żeby on nigdy takim nieszczęśliwym nie był...

Kobieta ze zdziwieniem i trochę z przestrachem głowę odgięła, ale gość prędkim ruchem zwrócił się w inną stronę izby, w tę stronę, gdzie pod ścianą za stołem siedział gospodarz chaty, Mikuła, milcząc dotąd; zwyczajem jego snać było, że wszystkim wprzódy mówić pozwalał, a potem zdaniem swojem spór lub rozprawę rozstrzygał i kończył. Rękę z fajką w powietrzu zawiesił i powoli, spokojnie przemówił:

— Sprawiedliwie. Nad takim i Pan Bóg *najwyszejszy* litować się nie przykazał. Sprawiedliwie. Już nam te *koniokrady*, grabieżniki, *chfałszowniki* i inne szelmy dość nadokuczali. Czyto niewinne ludzie na to harują, żeby oni ich dobrem, a broń Boże i krwią, karmili się i poili? Niewinnym ludziom od wszelakiej krzywdy obrona i ubezpieczenie być powinny, a żeby dla takich ciężkich grzechów nijakiej kary nie było, nie *możno*, nijak nie *możno*. *Hodzi*

Przybyły wpatrywał się w mówiącego i słów jego słuchał z takiem wytężeniem, tak chciwie, że aż wargi jego rozwarły się i zesztywniały rysy, a tylko powieki nad źrenicami prędko, prędko mrugały. Stary umilkł, a on jeszcze kilka sekund patrzył, słuchał, jakby słowa jakiegoś jeszcze niewymówionego oczekiwał. Nakoniec ręką machnął.

— *Hodzi!* — powtórzył i zaśmiał się krótko, ostro. — Dobrze wam, panie gospodarzu, mówić *hodzi!* Ale czy temu, kogo, jak dziką bestyę po świecie gnają, aby dognawszy, na gorzkie jabłko zbić, a potem do katorgi zapędzić, *hodzi*, czy nie *hodzi?* to już on tylko w swojej duszy wie, świat, ludzi i dzień urodzenia swego przeklinając! Każdego człowieka nieszczęście spotkać może i żadna matka nie wie, kogo tam... na rękach swoich kołysze...

Przelotnie na Krystynę i na drugą spojrzał, zachłysnął się, ślinę głośno przełknął, umilkł.

— Każdego nieszczęście spotkać może — spokojnie i powoli odezwał się Mikuła — ale taki *najgorzejszy*, który drugiego człowieka ubija...

— Najgorszy, najgorszy! — powtórzył — a wiecież wy, panie gospodarzu, że najgorszość czasem blizko, oj, jak bliziutko najlepszości leży... i żeby nie zdarzenie jakie, albo tam... różności, co ich wszystkich przeliczyć trudno, możeby zamiast tej najgorszości była najlepszość..

W gardle mu zas hło. Szerokiemi krokami ku stołowi podszedł, kieliszek wódką napełnił, jednym haustem ją przełknął i do komina wrócił.

— *Hodzi!* — zaczął znów, ciągle ku staremu Mikule zwrócony — dobrze wam mówić *hodzi!* A czy wy wiecie, jakim sposobem ten Bąk, którego teraz jak dziką bestyę ścigają, żeby go na gorzkie jabłko zbić, pierwszy raz w biedę wpadł? Może pierwszy raz w biedę on wpadł za takie głupstwo, że i plunąć nie było na co, a bieda trzęsie tego, kto na niej jedzie...

Znów podszedł ku stołowi, ale wódki już nie pił. Machinalnie wyciągnął rękę ku butelce, lecz nie dotknąwszy jej, znów do komina wrócił. Nozdrza jego rozdymały się i poruszały, brwi podnosiły się, to opadały; natura gwałtowna, zuchwała, zgorzkniała tryskała mu z oczu ponurym ogniem, piersi podnosiła szybkim oddechem. Śmiał się jednak, przed kominem znów stojąc.

— *Hodzi!* — powtórzył jeszcze. Żeby to tym wszystkim dyabłom, które duszę ludzką targają, każdy miał moc powiedzieć *hodzi!* i żeby już one tak, od tego jednego słowa i uciekły! U jednego te dyabły śpią, a w drugim obudzą się i na potępienie prowadzą. A czy wy myślicie, panie gospodarzu, że jak dyabły duszę ludzką na potępienie prowadzą, to jej ktokolwiek wybawić się od nich pomoże? cha, cha, cha, cha! słomki nikt nie poda, żeby człowiek za nią uczepić się mógł i z jamy wyleźć. Kiedy człowiek pośliźnie się i jak świnia w gnój wpadnie, czy jest na świecie kto taki, coby zlitował się i na suche pole go wyprowadził? Ho, ho! nikt i nie obejrzy się, a jeżeli obejrzy się, to na to tylko, aby nogą popchnąć? Czasem i samemu smród obrzydnie... uciekać od niego zażąda — gdzie tam! nie pozwolą! Huż ha! Jak charty lisa gonią aż dogonią, nazad w smród zapędzą i targają, męczą, dopóki znów do krwi kąsać nie zacznie! A co ma robić? Kiedy wojna, to wojna! Kiedy przepadać, to już wprzód dobrze najadłszy się i napiwszy, a choć i łeb cudzy roztrzaskać, to co? I tak zgubienie, i tak zgubienie... Niechajże przynajmniej wrogi popamiętają... a kto wróg? cały świat wróg, kiedy nikt ratować ani myśli... a każdy zgubić żąda...

Znów ku stołowi, ale już ze skrzyżowanemi

ramionami podszedł i trochę naprzód pochylony, Mikule w twarz spojrzał. Stary od paru minut na gościa swego tak przenikliwie patrzył, że aż ręka, trzymająca fajkę, na ławę mu opadła. Teraz oczy ich po raz pierwszy spotkały się w długiem spojrzeniu; głos gościa urwał się. Odwrócił się, znów przed kominem stanął, ale nozdrza poruszać się mu przestały i znacznie ciszej niż przedtem mówić zaczął:

— Czy to właśnie każdy odrazu już do głębokiej jamy wleci? Nie każdy. Może i ten Bąk nie odrazu ludzi zabijał. Ot ciekawość, jaka to jego historya? Gdzie on urodził się i w jakiem to miejscu matka to jego na rękach swoich nosiła i kołysała? *Musi* on wtenczas jeszcze rozbójnikiem nie był, *musi* on po jakiejś drabinie schodził, póki zeszedł aż tam, skąd już ani Bóg, ani dyabeł jego nie wyciągnie. Nie wiem tam, co on takiego robił, nim ludzką krew rozlał, ale słyszę, jak rozlał, samego siebie zląkł się i z turmy uciekłszy, do *chfabryki* pracować poszedł. Czy dali spokojnie pracować?... Nie dali. Złapali i znów w smród zagnali... Znów uciekł, a uciekając, jak jemu kto na drodze stanął, może i drugi raz, czy ja wiem? krew ludzką rozlał... Ale potem słyszę w *chfabryce* dwa lata znów spokojnie przesiedział... Bardzo już może zląkł się i siebie samego i tej kary, co jego czekała... Albo to kto dowiadywał się, co on tam sobie myślał i zamierzał? *Czort* chyba do niego dowiadywał się... więcej nikt...

Dotąd wszyscy w milczeniu, zaciekawieni i zdziwieni, słuchali mowy jego. Ale Aleksy dłużej już milczeć nie mógł.

— Ej, ej! panie! — zawołał — coś wy już *nadto* bronicie rozbójników!

Gość wyprostował się znów i młodemu chłopu w same oczy spojrzał.

— Oj, oj! — z szyderstwem w głosie odpowiedział; — w ciepły kożuch wlazł i kontent, że mu dobrze! A nad takim, z którego i skórę zaraz zedrą, żadnego już zlitowania mieć nie trzeba? Stary Mikuła fajkę od twarzy odjął, krzaczyste brwi zsunął i twardo, krótko, srogo wymówił:

— Nie trzeba.

Możnaby myśleć, że dwa te wyrazy gościowi w twarz rzucił i że on uderzenie ich poczuł, tak szybko całem ciałem zwrócił się ku staremu i z cichym śmiechem, parę szerokich kroków uczyniwszy, tuż przy nim usiadł.

W tej chwili drzwi skrzypnęły, parę osób weszło i przy kominie wszczęły się rozmowy. Ale przybyły zdawał się wcale tego nie spostrzegać, na stołku tuż przy gospodarzu usiadł, szerokiemi plecami ku izbie się zwrócił i łokciem szeroko na stole oparty, twarz swą ku twarzy starego pochylił. Blizko nich nikogo nie było. Tylko stara Nastula, pośpiesznym ruchem wsunęła się tuż prawie pod ramię przybyłego i z chciwą ciekawością ucho ku niemu pochyliła. Wkrótce też usłyszała półgłosem wymówione słowa:

— Panie gospodarzu, a co z waszym Jaśkiem słychać?

— Z jakim Jaśkiem? — szorstko odrzucił stary.

— A z trzecim waszym synem... Dwóch tu jest, a trzeciego nie ma... czy wy już o nim ze wszystkiem zapomnieli, panie gospodarzu?

Za plecami pytającego dłonie jakieś głośno splasnęły i babski, piskliwy głos zagadał:

— *A kab* ja wieku swego nie dożyła! *Kab* mnie język w kół się obrócił! *Kab* mnie ręce jak te gałęzie wierzby — powykręcało, kiedy ja o nim zapomniała, o Jaśku moim najmilszym, o sokoliku moim biednieńkim... Toż ja jego, kiedy on na świat rodził się, od matki przyjmowała, toż ja jego na rękach swoich nie raz i nie dziesięć razy nosiła... swoich dzieci nie miała, ale jego miała i polubiła, jak rodzimeńkiego synka...

Głowa baby trzęsła się i w obie strony kołysała tuż nad ramieniem przybyłego. On wkrótce przerwał jej pytaniem:

— To wy, panie gospodarzu, ze wszystkiem już Jaśka nie pamiętacie? Onże wasz pierwszy był... najstarszy...

Jakby przemocą z milczenia wyrwany, stary chmurnie odrzekł:

— Czemu nie pamiętam? Pamiętam... a wyż jego dobrze znali?

— Oj, i jak dobrze! Tęgi chłopiec był z niego, roztropny, śmiały...

— Nadto już śmiały — mruknął stary, popiół z fajki wytrząsając. — A wy słyszeli, co jemu wydarzyło się?

Widocznie, pomimo zachmurzenia i przenikliwych spojrzeń, które czasem na gościa rzucał, ochotę do mówienia o najstarszym synie uczuwać zaczynał. Ale stara Nastula zawiodła znów:

— Oj, wydarzyła się jemu bieda, biedulenka! oj, *kab* im Pan Bóg grzechów ich nie darował, jak oni jemu, młodzieńkiemu i durnieńkiemu wtenczas nie darowali! Zgubili oni jego, jak tego psa zmarnowali... *nieboszczyca*

matula jego mnie bratnicą przychodziła... a on mnie babulką nazywał...

Gość starego Mikuły zapytał:

— A cóż to jemu wydarzyło się takiego?

Stary przez pół minuty szczękami poruszał, jakby twardego coś przeżuwał. I nie chciało mu się z tym nieznajomym mówić i do mówienia ochota go brała.

— Ot — zaczął — z głupstwa poszło... może on pierwszy raz i za sprawiedliwość pokutował... Proces nam Dubrowlańcy, sąsiedzi, wytoczyli... nu, mnie gromada za plenipotenta wybrała, ja do miasta jeździł i z *hadwokatem* gadał, tym znaczy, co przed sądem nas bronił. Do miasta Jaśka z sobą brałem i do *hadwokata* brałem, tak sobie bez przyczyny... Nadto już jego lubiłem, a kiedy czego naparł się, to i na wszystko pozwalałem... *Kab* mnie Pan Bóg *najwyszejszy* za te pobłażanie jemu nie karał...

Baba w mowę mu wpadła:

— O, lubili jego i hołubili wszyscy dobrzy ludzie i na wszystko jemu pozwalali, bo nadto mileńki był i łaskawy... rączki bywało, na szyję zarzuci i tuli się do człowieka, jak ten baranek, a oczki miał, jak te wasilki w życie...

Stary, na zawodzenie baby nie zważając, coraz już chętniej dawne dzieje z pamięci wywodził.

— Nie żart, jaki on był rozumny, ale nadto już zuchwały i ze wszystkiem nie taki, jak inne chłopcy... Ani u niego robota, ani zabawa nie była taka, jak u wszystkich. Kiedy pracuje, to rwie jak koń ognisty, a kiedy hula, to tak, że i rady nie dasz. Bywało, że za szyję obejmuje i całuje, mało nie udusi, a innym razem hardo postawi się i żeby tam nie wiem komu, jak osa rzuci się w oczy. Łajał ja jego dobrze, ale najwięcej pobłażał... a *taki* nic złego on wtenczas nie robił... — Zamyślił się, głową trząsł. — Na zgubienie ja jego brał z sobą do miasta i do *hadwokata* — mówił dalej. — Słuchał on, co my z sobą gadali, słuchał i wracając bywało, mówi: „tatku, ja tego ubiję, kto nam niesprawiedliwie ziemię zabierać przyjdzie!“ Ja tylko śmieję się. Młody, taj durny, myślę. A ziemia sprawiedliwie do nas należała, ale przedawnienie zaszło i proces my przegrali, Dubrowlańcy ziemię odbierać przyszli, a my zawzięli się nie oddawać. *Nie oddamo i nie oddamo!* Całą gromadą, bywało, wyjdziem, i napastników tych, *kab* im Pan Bóg grzechów ich nie darował, przepędzamy. Dokazywali wszyscy, dokazywał i Jasiek. Nu, myślę, dobrze. Kiedy wszyscy, to niechaj i on. Aż tu na wiosnę mówią: *urędnik* przyjedzie i Dubrowlańcom ziemię oddawać będzie. Bieda! Z *urędnikiem* nie to, co z chłopami. My rękami machnęli. Niechaj będzie i tak! niechaj będzie i nasza krzywda! Pan Jezus więcej cierpiał! Ale nie wszystko my, jak potrzeba przeliczyli. Nie przeliczyli my tych młodych, a nadto zuchwałych, co na swój rozum brali i zmowę robili... Przyjechał *urędnik*, jakiś wysoki i dwóch *niższejszych* z sobą przywiózł i dawaj po polu chodzić, temu to, a tamtemu to przeznaczać i darowywać... A nasze chłopcy, jak wypadną z kosami, taj z grablami, taj z kijami... Może dwudziestu ich było, a mój Jasiek przed wszystkimi, jak jak jaki jenerał... *Urędników* przepędzili...

Baba nagle w okrutny gniew wpadła. Pięścią jednej ręki o dłoń drugiej uderzyła, krzycząc:

— *Kab* jemu Pan Bóg nie darował, że on taki zuchwały był... *Kab* on wskróś ziemię przepadł, jak on siebie samego marnie zgubił...

— On już przepadł! nie przeklinajcie, babulko — ku babie zwracając się, sarknął przybyły i znów pilnie starego słuchać zaczął.

A stary rozgadał się na dobre. Może i nie myślał o tem, do kogo mówi; mówił, bo go ból stary, prawie zapomniany, znów za serce ugryzł, a wspomnienie o najstarszym utraconym synie mgły ubiegłych lat rozpędzały...

— Znaczy — mówił — bunt. Znaczy sprzeciwienie się władzy. Nu, do turmy ich wzięli i sąd nad nimi robili. Innych wypuścili, albo trochę tylko ukarali, a jego na trzy lata turmy osądzili... *zaczynszczyk*, mówią. Nu, dobrze. Trzy lata nie wiek. A jemu tylko ośmnasty roczek wtedy szedł... Nie bardzo ja smucił się, że on tam trzy lata posiedzi. Rozumu, myślę, nauczy się, łagodności nauczy się...

— Nauczył się? — zapytał przybyły; — cha, cha! Cóż, czy nauczył się? A?

Stary, w ziemię patrząc, wielką głową trząsł.

— A-le! nauczył się! *Kab hetak czorci złe* dusze uczyli! Jak powrócił do domu, to i dnia spokojnego w chacie już nie było. Siądzie, bywało, i opowiada, jak złodzieje po nocy kraść chodzą i wszystkie zamki otwierają. „Na wszystko są sposoby, mówi, a ja wszystkie sposoby wiem“ albo mówi: „Ochota to ludziom po takich chatach siedzieć: biedować i harować, kiedy na świecie tyle bogactwa jest i do niego łatwym sposobem dojść można“. Ja jego kułakiem w plecy: „Ot tobie, mówię,

łatwy sposób o złodziejstwie i paskudztwie niejakiem nie myśleć!“ A on do mnie: „nie *biej*, tatku, bo uciekne i tyle mnie zobaczycie!“ Za czapkę i do karczmy. Pić nauczył się. Wprzódy nie pił, wiadomo, dziecko, co jemu 17 latek ledwie skończyło się. A tam i tego nauczył się. Upije się, bywało, i po całej wiosce *hawantury* dokazuje: z parobkami bije się, dziewczęta łapie... Ja do niego dobrym sposobem: „czy tobie wstydu niema, Jaśku? czy ty Pana Boga nie boisz się?“ A on w śmiech: „ej, tatku, mówi, albo ja takie rzeczy widział? albo ja o takich nasłuchał się... tam będąc? Wy głupi, w swojej wiosce siedzicie i nic nie znacie, a ja teraz uczony!“ Oj, uczony on zrobił się jak trzy lata w turmie pobył, uczony! *Kab* tych *gubernerów*, co jego tam uczyli...

Przybyły śmiał się, cichym, długim, piersiowym śmiechem. Potem głową trząść zaczął.

— Oj, panie gospodarzu, w wiosce swojej siedzicie, ziemię rękami swojemi drapiecie i nic nie znacie! Żebyście tych *gubernerów* zobaczyli i żebyście posłyszeli, jak oni waszego synka nauczali, toby was, panie gospodarzu, może z samego strachu parulusz naruszył...

— *Sztoż heto?* — wyrzekł powoli stary — albo ja was kiedyściś znał, albo ja was nie znał?... *czysta odura!* Kto wy taki?

Ale w tej chwili przybyły zaniepokoił się i twarz odwrócił ku kominowi, dokoła którego coraz większy wszczynał się ruch i gwar. U ognia, zamiast dwóch kołowrotków Hanulki i Krystyny, które stały tam przedtem, znalazło się pięć. Dwie dziewczyny weszły już były wprzódy i z kołowrotkami swemi po obu stronach Hanulki usiadły, a teraz, tylko co, przybyła jeszcze jedna, którą Aleksy żartami witał, a Krystyna uprzejmie zapraszała, ażeby usiadła przy niej. W chacie Mikuły rozpoczynała się zimowa, gwarna, długa wieczornica.

Przybyły bystro na skupioną u ognia grupę ludzi popatrzył i znów zwrócił się ku staremu. Ale Mikuła pogrążył się już w zwykłem sobie milczeniu. Nastula za to, coraz większą ochotę do rozmawiania z nieznajomym okazywała. Jak w szczypce, schwyciła w garść rękaw surduta przybyłego.

— To wy naszego Jaśka znali — i prędko a cicho trzepać zaczęła: — pewnie wtedy jego znali, jak przy budowaniu nowego dworu byli... Biednyż on, biedny! Nacierpiał się on, nacierpiał od rodzonego *baćka*, nim na wieczne czasy w świat sobie poszedł...

Oczami ku staremu Mikule rzuciła i głos zniżając, tajemniczo ciągnęła dalej:

— Bił! jak tego psa, bił własnemi rękami, kijem, czem popadło... *Kab* ja z tego miejsca nie wstała, kiedy łgę... Jak pierwej pobłażał i hołubił, tak później, kiedy biedulek z turmy powrócił, bił... Za rozpowiadanie o złodziejach, i za pijaństwo, i za hultajstwo, za wszystko, bywało, bije, taj bije.. „Ja jemu, mówi, te paskudztwa, które on stamtąd poprzynosił, z ciała i z duszy wybiję!“ Bywało, matka do jednej ręki jemu przyczepi się, a ja do drugiej i krzyczym: „oj, nie męcz ty, Szymonie, rodzonego dziecka, grzechu na duszę nie bierz, bo jak do reszty w złość wpadnie, z chaty ucieczе i duszę swoją zgubi!“ A on mruczy: „Będzie jemu bieda odemnie, oj będzie kiedyścić bieda, jeżeli nie poprawi się! Ubiję, a łotrem na wieki zostać nie pozwolę!“ I z drugimi synami już inaczej zaczął... I dla drugich już srogości nabrał: „Pobłażał ja starszemu, mówi, i ot na jakiego on wykierował się... młodszym już pobłażania żadnego odemnie nie będzie.“ Oj, piekłoż, piekło zrobiło się wtenczas w chacie... Matka, bywało, płacze, płacze, aż w niemocy legnie, *baćko* jak ten zwierz rozjuszony, tylko za Jaśkiem oczami wodzi, żeby go na czem złapać i karać, młodsze chłopcy, jak te zające, ze stulonemi uszami chodzą, a Jasiek nieborak cierpiał i cierpiał, jak ta trzaska wysechł, jak ta chmura zasępił się i już, zdaje się troszkę spokojności i upamiętania przychodzić na niego zaczęło... Upokorzył się przed ojcem, upokorzył przed rodzonym, słuchać zaczął... aż tu raptem, wziął taj uciekł... Nie wytrzymał, *taki* uciekł!... Może on od ręki ojcowskiej, co nad jego młodością zlitowania nie miała, uciekł... Może on od *naboru*, znaczy, od tego, żeby go w sołdaty nie wzięli, uciekł... Może jego kto taki, z kim on w turmie zaznajomił się, namówił... wziął, taj uciekł... i oczy nasze już jego, mileńkiego, nigdy nie widziały, i uszy nasze jego głosiku *srybnieńkiego* nigdy nie słyszały... Matka po nim płakała, i siostra płakała, Maryśka starsza, Hanuli jeszcze na świecie nie było i zdaje się po ścianach tej chaty, chatynki jego rodzonej, łezki po nim ciekły... tylko *baćko* o nim nigdy nie zagadał, nigdy nie zlitował się, synka swego rodzonego, najstarszego, nigdy nie pożałował... Taki on już srogi!

Przybyły ramię ku butelce wyciągnął i zbliżywszy ją do ust, resztę znajdującego się w niej trunku parą chciwemi łykami połknął. Ze stukiem butelkę na stole stawiając, zaśmiał się i drwiąco na babę popatrzył.

— Oj, ty głupia babulo! jeżeli ani razu nie pożałował, to czemuż najstarszego wnuka Jaśkiem nazwał? A? *musi*, kiedy najstarszy wnuk na świat przyszedł, on o najstarszym synku swoim wspominał? A?

Mikuła ocknął się z zamyślenia, fajkę nieco od ust oddalił, całem swem wielkiem ciałem pochylił się ku gościowi, a prawą rękę do czoła podniósł.

— W imię Ojca... i Syna... — zaszeptał. Ale gość powstał, stołek, na którym siedział ze stukiem odsunął i szerokimi krokami ku przeciwległej ścianie odszedłszy, w cieniu, przy karmiącej dziecko usiadł. W tej samej chwili drzwi rozwarły się i zamknęły z trzaskiem, do izby wpadła dziewczyna wysoka, barczysta, zdyszana z ospowatą twarzą i kołowrotkiem.

KTO ZAPŁACI.

Droga ciężka.

Śnieg przysypał pola, wyścielił rowy; pozakrywał doły, zrównał wzniesienia.

Od północy wicher dmie ostry, a zdaje się czasem, że na skrzydłach swoich niesie jakieś wołania tęskne i żałosne, lub groźbę i gniew straszny.

— Bracia! spieszcie się do pomocy, do obrony, do walki!... woła echo z pod Warszawy, donosi wieść, mówiącą o powstaniu, o walce, o tem, iż Moskali już w Warszawie niema.

— Daremne wasze zamiary; groźnym mrukiem woła wiatr północny... Daremnie o obronie myślicie, daremnie przeciw woli cara powstanie zamierzacie, armia moskiewska trzema ogromnemi kolumnami idzie. Zaleje was, zdepce was, stratuje swojemi koniami — rozbije swojemi armatami.

Lecz wieśniacy nie lękają się!

Ani się nie boją ostrego wichru, ani nie lękają się złej i ciężkiej trwogi, ani nie trwożą się na wieści o armii moskiewskiej, która idzie trzema kolumnami, ażeby zgnieść powstanie.

Głęboko w śniegu brną kopyta koni, które ciągną sanie ciężko naładowane.

Wieśniacy idą obok i gdzie cięższa droga, pomagają przesunąć się sankom.

Na saniach są złożone faszyny potrzebne do obrony twierdzy w Modlinie.

Poczciwi wieśniacy z okolicznych wiosek pracują już od kilku dni i zwożą żywność, zwożą drzewo, zwożą teraz faszyny.

Wicher dmie ostry, mróz pali ręce.

— Hej!.. ustąpić z drogi! woła woźnica i pali z bicza.

Naprzeciw mkną lekkie sanki, konie jak pioruny rwą się naprzód...

Droga ciężka, rozminąć się trudno.

— Ustąpić trochę! woła znów woźnica, a z sanek wysuwa się jenerał Chłopicki i pyta:

— Co wieziecie?

— Do Modlina wieziemy faszyny, do twierdzy.

— Wiele fur?

— Nas jedzie ośmiu, a dalej jadą z drzewem na palisady.

— W taką drogę, tak daleko? pyta zdziwiony Chłopicki... po czemu wam płacą?

A na to jeden z gospodarzy:

— Płacą?... kto ma płacić?

— Jakto kto? ci, co w Modlinie odbierają, ci, co zamówili drzewo i faszyny.

— Wielmożny Panie! odrzecze jeden z wieśniaków, nikt nam nie płaci i nikt u nas nie zamawiał drzewa, wozimy, bo chcemy dopomódz wam w obronie Ojczyzny.

Zdziwił się Chłopicki i wysiadłszy z sanek długą chwilę rozmawiał z włościanami.

— W każdym razie powinniście dostać wynagrodzenie, ciężką pracę spełniacie, konie męczycie, jesteście ubodzy, trudno wam bez zapłaty pracować.

— A wam kto zapłaci za to, iż do walki z wrogiem idziecie?...

Uśmiechnął się Chłopicki, podał rękę staremu wieśniakowi, który prowadził dostawę faszyn i pojechał dalej.

O trzy wiorsty już spotkał wieśniaków jadących z drzewem.

— Po ile bierzecie od fury? pyta umyślnie...

— Nie za pieniądze wozimy, odpowiadają włościanie..

— A któż wam zapłaci za trudy?

— Za miłość dla matki nikt nie płaci...

— — — — — — — — — —

Tak w 1831 roku rozumieli bracia nasi, jaka powinna być służba dla Ojczyzny.

Tak zapisały gazety ówczesne, słowa szlachetnych włościan, ażeby innych zachęcić do poświęcenia.

Bywali bowiem i bywają, którzy zaraz pytają:

— Kto nam zapłaci?...

Są obowiązki święte i za ich spełnianie niema zapłaty.

JAK PRZYSZŁO DO TEGO, ŻE LUDZIE JADAJĄ RAKI.

Opowiadanie osnute na podaniu ludowem.

— Matulu! jeść!

— Matulu! dajcie chleba!

— Matulu! tak główka boli!

— Matulu! czy przynieśliście co?

Takie wykrzykniki zmieszane z płaczem, powitały wchodzącą do chaty młodą, ale zwiędniętą i wyniszczoną nędzą kobiecinę.

— Czy przynieśliście co? matulu — wołały chórem dzieci. Kobieta popatrzyła po wyschniętych i pożółkłych z głodu twarzyczkach i łzy strumieniem rzuciły jej się z oczu.

— Nic nie mam! nic! nic! — nawet wiewiórki upolować nie mogłam. nawet korzonków już brakło w lesie, bo wszystkie ludzie wyzbierali, a jagody, ani grzybka jeszcze niema! nic! nic!

— Matulu! to my już umrzemy z głodu!

Kobieta chwyciła się obu rękami za głowę i wybiegła z chaty.

* * *

Działo się to za czasów Kazimierza Wielkiego, kiedy jeszcze nie znano w Polsce ziemniaków, które potem ratowały zawsze wieśniaka od ostatecznej nędzy. Nim wprowadzono i rozpowszechniono ziemniaki, gdy zboże nie obrodziło, ludzie wymierali z głodu całemi rodzinami. Dobry Kazimierz, król chłopków, zgromadzał w lata urodzajne zboże do spichrzów i rozdawał potem biednym, ale nim zdołano przy braku dróg porozwozić zboże po całym kraju, wiele się ludzie nacierpieli, a dzieci szczególniej ginęły masami.

A właśnie głód był straszny w tym roku. W wiosce, leżącej wśród lasów, gorzej było niż gdzieindziej, a w chacie biednej wdowy, mającej kilkoro dzieci, było najgorzej.

Kobieta rozważa sobie to wszystko i myśli, że nim do ich odległej wioski przywiozą chleba, dzieci jej ukochane zmarnieją, nie wytrzymają, a nuż zapomną o nich i ominą te lasy — a dzieci cierpią, dzieci nikną w oczach. Malutki już nie podnosi się z posłania i choć mówić nie może, oczkami prosi rzewnie ze starszemi — Matulu jeść, bo umieram!

Co tu robić, co robić? choć kamienie gryźć. Rozpacz zaświeciła jej w oczach, nie, takiej męki ona nie przeniesie, patrzeć potem jak jej jedno po drugiem zaczną wynosić z chaty, nie, lepiej odrazu skończyć z życiem, przynajmniej umrą razem, a krócej cierpieć będą. A ma ona sposób prędki na skrócenie życia. W pobliskim strumieniu jest moc czarnych, wstrętnych stworzeń, wyłażących nieraz aż na brzegi i wyciągających obrzydliwe swoje nogi, klapiących ogonem za dotknięciem i szczypiących silnemi kleszczami wszystko, co się do nich za blizko podsunie. Wszystkie inne stworzenia już zostały wyłapane i zjedzone, one jedne pozostały nietknięte; używano je tylko na czary, a wierzono, że dość zjeść jednego takiego gada, żeby umrzeć. Zwano je rakami.

Kobieta już się nie namyślała, poszła do strumienia i szybko chwytała, nie obawiając się niczego, bo nie płoszono nigdy raków. Brała ich dużo, żeby skutek był pewniejszy. Z pełnym fartuchem wróciła do domu, dzieci spały.

Zagotowała wody, zalała raki ukropem, przystawiła do ognia. Załatwiała się po cichu, żeby dzieci nie budzić. Najstarszy jednak podniósł głowę, wstał i podszedł chwiejącym krokiem do komina.

— Matulu, wy chcecie żebyśmy prędzej pomarli?

— Cicho dziecko, cicho! — szeptała podniecona matka.

— Matulu, ja widzę, wy chcecie nas otruć, wy raki gotujecie, ale dajcie choć raki, niech się to raz skończy.

— Niech się raz skończy!

Zajrzała do garnka. Zamiast wstrętnych gadów, które z obrzydzeniem brała do ręki, zobaczyła coś niby ładne czerwone rybki.

— O jakie to chytre poczwary — pomyślała — jak się to przystroiło, żeby łatwiej człeka zgubić, to tak jak muchomory.

Jednocześnie chłopiec, który z nią razem zaglądał do garnka, krzyknął:

— Rybki matulu, o jakie śliczne rybki, dajcie nam, dajcie, myśmy tacy głodni.

Młodsze dzieci usłyszawszy o rybkach, wnet zgromadziły się około komina. Matka pierwsza skosztowała rzekomej trucizny i doradzała dzieciom jak najłatwiej wybrać zawartość skorupek. Najmłodszemu sama obierała i podawała. Jadła i ona, nie chcąc pozostać przy życiu. Dzieci chciwie spożywały, nie zostawiły ani jednego. Rozweseliły się trochę, pokręciły po izbie, ale że były słabe po długim przymusowym poście, nie długo pokładły się i pozasypiały.

Matka wtedy zaczęła gotować się na śmierć. Dzieci ułożyła równo na posłaniu jedno koło drugiego, przeżegnała każde, zapaliła przed obrazem gromnicę, uklękła i głośno odmawiała modlitwy za konających. Śmierć się nie spieszyła, za to sen ogarnął ją niewiadomo kiedy, obsunęła się na ziemię i twardo zasnęła.

Zbudziło ją trzaskanie palących się kwiatów, któremi w połowie wysokości przystrojona była gromnica.

Zerwała się zdziwiona, że żyje, zgasiła płomień i ze strachem szła do dzieci, czyżby ona jedna została przy życiu.

Dzieci były ciepłe, oddychały spokojnie, położyła się przy nich i tak dospała do rana.

Rano nowe zdziwienie, że wszyscy jeszcze żyją.

Nazbierała raków podwójną ilość. Dzieci zjadały ze smakiem, nasyciwszy się, wybiegły przed dom wesoło. Na obiad znów im podała raki i obserwowała je pilnie. Dzieci ani myślały umierać.

Po kilku dniach żywienia się rakami, dzieci były zdrowsze, weselsze, a i ona też czuła się rzeźwiejsza i ochotniejsza do pracy.

Zaszła do niej sąsiadka.

— O mój Boże! to wasze dzieci śmieją się i biegają, a moim już tylko wybrać się na mogiłki, a możeście wy kumo wynaleźli gdzie jakie pożywienie, powiedzcie przez Boga, bo mało już nie poszalejemy z głodu i rozpaczy, a pomocy znikąd nie widać.

Wdowa pokazała jej raki, które właśnie przyniosła na obiad. Sąsiadka cofnęła się ze wstrętem.

— Co wy z tem robicie kumo, czy komu co zadać chcecie, czy kogo uśmiercić?

— Toć my tem żyjemy od kilku dni i widzicie, aniśmy pomarli, ani chorujemy, jenośmy się nawet skrzepili trochę na siłach.

— Kumo, co wy, toż człowiek w ciężkich bólach umiera od raka.

— Pokosztujcie ino, a macie przekonanie na mnie i na dzieciach, że żyjemy. Ot weźcie połowę, zaraz je dla was ugotuję, prędzej dzieci pożywicie. Ratowaliście mnie, pókiście mieli czem, niechże i ja was w tej ostatecznej nędzy, choć odrobinę poratuję.

Kuma po krótkiem wzdraganiu dała się namówić, skosztowała sama i zaniosła mężowi i dzieciom. Na wieczór już sami nałapali raków i jedli.

Dowiedzieli się o jakby z nieba spadłem pożywieniu i inni mieszkańcy wioski i wszyscy żywili się rakami przez kilka dni, nim oczekiwane wozy ze zbożem i chlebem nadeszły. Wieść o rakach rozeszła się po kraju. Z obrzydzeniem słuchano o możliwości jedzenia raków, brzydzono się nawet tymi, co rakami uratowali sobie życie i z pogardą nazywali ich rakarzami.

Król usłyszawszy o wyratowaniu całej wioski od śmierci głodowej zapomocą raków, a jednocześnie o obrzydzeniu jakie to pożywienie wzbudza, kazał sobie raki ugotować i tak mu zasmakowały, że odtąd jadał je często. Dopiero za przykładem królewskim dworzanie, a potem i inni ludzie zaczęli już nie z głodu, a dla przyjemności jadać raki.

A dziś, aż rakom zagłada grozi i wytępienie zupełne, tak sobie ludzie w nich smakują.

K. P.

